

oko sash

BILUSZCZ



E.

B.

OD ADMINISTRACJI

**Prosimy o wpłatę prenumeraty za marzec r. b.
Czeki P. K. O. dołączyliśmy do N-ru 8-go.**

NA CZEKACH PROSIMY WYMIENIĄĆ OKRES, KTÓREGO PRENUMERATA DOTYCZY, ORAZ PODAWAĆ DOKŁADNY SWÓJ ADRES, A TO: IMIĘ, NAZWISKO, ZAWÓD, MIEJSCE ZAMIESZKANIA, ULICĘ, Nr DOMU I POCZTĘ.

NA ZBLIŻAJĄCY SIĘ SEZON WIOSENNY

Dział księgarski przy T-wie Wyd. „BLUSZCZ“ podejmuje się zaopatrzyć Sz. Panie Prenumeratorki w niezbędne podręczniki ogrodnicze, rolnicze i gospodarstwa domowego, jako to:

Atlasiki przyrodnicze (botaniczny, motyli, gąsiennic, ptaków i innych po zł. 2 i zł. 3.—	Jankowski . . . Ogród wiejski zł. 6.20
Betten Hodowla kwiatów w pokoju 4.20	Miczyński . . . Rolnik wzorowy „ 6.50
Brzeziński Hodowla drzew i krzewów owocowych cz. I i II 4.60	Nehring Cebula „ 2.20
„ Hodowla drzew i krzewów owocowych cz. III (drzewa formowane 2.50	„ Kapusta „ 2.20
„ Hodowla warzyw 6.50	Norkowska Najnowsza kuchnia „ 7.50
Brzozowski Inspekt 3.—	„ Piekarnia i cukiernia „ 3.—
Chmielewski Zarys tech. młeczar. 4.50	Ochorowicz-Monatowa — Uniwersalna książka kucharska „ 15.—
Chrzęszcz Wina owocowe 3.50	Trybuński Gospodarski chów drobiu „ 2.70
Dobrzański Rozpoznawanie chorób zwierząt domowych 1.60	„ Kozy „ 1.60
Garbowski Choroby roślin rolniczych 10.50	„ Kroliki „ 3.20
Gniewkowska Współczesna kuchnia 7.50	„ Kury „ 11.50
Jankowski Kwaciarstwo gruntowe 6.50	Victorini Hodowla drobiu „ 3.60
	Zacharski Technika jajczarska „ —.90

ORAZ WSZELKIE INNE WYDAWNICTWA ROLNICZE.

a dla miłego spędzenia chwil wolnych od pracy

NAJA TRIPUDIANS

Fascynująca nowość autorki „Pożeraczy“ — Annie Vivanti

ŚWIETNIE TŁUMACZONA PRZEZ T. JAKUBOWICZA

Cena 3 złote.

Conrad Smuga cienia zł. 1.95	London Opowieści Mórz Południowych zł. —.95
„ Sześć opowieści „ 1.95	„ Płonące światło „ 2.50
Dickens Opowieść wigilijna „ —.95	„ Przygoda 2 tomy „ 1.90
Dumas Anioł Pitou 4 tomy „ 3.80	„ Serce-Kobiety „ —.95
(a także poprzednie: Józef Balsamo i Naszyjnik królowej 19 tomów po 95 gr.)	„ Syn Słońca „ —.95
„ Dama Kameljowa „ —.95	„ Wilk Morski 3 tomy „ 2.85
Dygasiński Złamane życie „ —.95	„ Wyga „ —.95
Fanol Na szerokiej drodze „ 1.95	Zofja Machowiczowa „Zbiór Monogramów“ z przesyłką „ 5.—
Gallet Przygody Cyrana de Bergerac 2 tomy „ 1.90	Miciński Wita „ 8.—
Gomulicki Siódme amen „ —.95	Ossendowski Płomienna północ „ 6.50
Grubiński Nowele „ —.95	Pawlikowska Różowa magja (poezje) „ 6.—
Jokaj Atlantyda „ —.95	Perzyński Raz w życiu „ 6.—
Junosza Na bruku „ —.95	Stevenson Opowieści nocne „ 4.80
Kasprowicz Mój świat (poezje) „ 7.80	Tetmajer Anioł śmierci „ —.95
Kiedrzyński Żona i nie żona „ 6.—	Twain Król i osioł „ —.95
J. Kraszewski Ostatni z Siekierzyńskich „ —.95	E. G. Wells Wehikuł Czasu „ —.95
E. Ligocki Powrót Beatrycy „ —.95	Wierzyński Pamiętnik miłości „ 6.—
London John Barleykorn „ 5.50	„ Wróble na dachu „ 3.60
„ Martin Eden 4 tomy „ 3.80	Winawer Lepsze Czasy „ —.95

ORAZ KAŻDĄ INNĄ KSIĄŻKĘ I ZE WSZYSTKICH DZIEDZIN.

Przy łaskawem nadsyłaniu zamówień prosimy o wnoszenie części należności znaczkami pocztowymi.

KTO MA BRODAWKI NA TWARZY I RĘKACH
KTO CIERPI NA ODCISKI (ODGNIATY) NA NOGACH, NIECH KUPI PASTĘ

ESTA

ZNANĄ OD CZTERDZIEŚCI LAT ZE SWEJ SKUTECZNOŚCI, CZEGO DOWODEM SĄ SETKI UZNAŃ I PODZIĘKOWAŃ

wyrobu aptekarza E. SOKALSKIEGO w Kętach—Małopolska.



ROK LIX

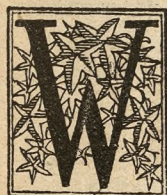
№ 11

PIŚMIENIOWY GODNIOWY ILLUSTROWANY DLA KOBIET

WARSZAWA, 13 MARCA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Atak na kobiety urzędniczek — *M. W.* Z ruchu pacyfistycznego w Polsce — *H. C.* Szkolnictwo w Łodzi — *Helena Boguszewska.* Po zamknięciu wystawy paryskiej (dok.) — *Jadwiga Handelsmanowa.* Wiersze: „Depesza”, „Pociecha” — *Hanna Morkowiczówna.* Myśl o tem co chcesz (c. d.) — *Helena Ceysingerówna.* Margrabina de Bois de Boulogne (groteska w 3 aktach (c. d.) — *Magdalena Samozwaniec.* Podbój siedziby — *Rudyard Kipling* (tłum. Koziełł - Poklewska). Córka Boga (c. d.) — *Z. Zawiszanka.* Sprawozdanie z kongresu międzynarodowej unji stowarzyszeń katolickich w Rzymie 1925 r. — *Z. Otniałowska.* Obok życia nie przez życie — *C. Walewska.* Przegląd ruchu plastycznego w Warszawie — *N. Samotybowa.* Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Co można zrobić z motywu na siatce. Podmuchy wiosenne — *W. M.* W imię lepszej przyszłości — *N...ska.* Oczyszczanie sadów (dok.) — *Stan. Schönfeld.* O plantowaniu chrzanu — *J. S.* Z hodowli drobiu — *H. Bilka.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta.* Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jarek i Hamlet” (kronika zdarzeń z życia pewnego chłopca, jego psa i prowincjonalnego miasta (c. d.)) — *Hugh Walpole* (tłum. z angielskiego *Irena Wasilutyńska*). ARKUSZ WZORÓW.

ATAK NA KOBIETY-URZĘDNICZKI



Warunki powojenne sprawiły, że kobiety w większym stopniu, niż przed 1914 r. wzięły na siebie ciężar zarobkowania. Część z nich pomaga w ten sposób do utrzymania rodziny, wobec niewystarczających dochodów mężów, część utrzymuje siebie samych, część zaś dźwiga obowiązek wyżywienia matki (czasami i ojca), nieletniego brata, siostry i t. d. Prócz tych względów natury gospodarczo-społecznej na udział kobiet w pracy zarobkowej wpłynęła jeszcze zmiana techniki pracy biurowej i znaczne kwalifikacje kobiet do czynności kancelaryjno-manipulacyjnej, stenografowania, pisania na maszynie i t. d. Kobieta nie tylko musi zarabiać, ale jest pożyteczną pracownicą w administracji państwowej, samorządowej, w organizacji produkcji, pośrednictwie i t. d. Duża skrupulatność, pilność, zdolność do pracy systematycznej i mechanicznej kobiet sprawia, że o pożytku kobiet w pracach administracyjnych nikt, zdaje się, nie wątpi.

Tymczasem spotkaliśmy się świeżo z dążeniem do usunięcia kobiet ze służby państwowej, lub ob-

niżenia im łącznie z urzędnikami prowizorycznymi i kontraktowymi stopni służbowych.

Tego rodzaju postulaty zawiera jeden z memoriałów, złożonych Rządowi przez t. zw. „Związek Urzędników z wyższem wykształceniem”. Związek ten, jak zdołaliśmy dowiedzieć się, stanowi nieliczną i mało wpływową grupę urzędników, która w krótkim czasie zdołała się ośmieszyć całym szeregiem niepoważnych żądań, o czem czytaliśmy w prasie codziennej. Panowie ci widocznie zbyt mało zadają sobie trudu nad przemyśleniem swoich niedojrzałych pomysłów, zbyt powierzchownie i zbyt pośpiesznie wydają swoje sądy, skoro mogli zdobyć się na rzucenie tak lekkomyślnych pomysłów.

Zobaczmy bliżej, jak wyglądają reformatorskie pomysły owych panów. Jeden z nich brzmi dosłownie: „należy zwolnić ze służby państwowej kobiety, szczególnie zamężne, nie mające praw do emerytury...” Inny postulat, dotyczący w dużej mierze kobiet, ponieważ znaczna część urzędniczek nie zajmuje stanowisk stałych, został ujęty w sposób następujący: „Obniżenie stopnia służbowego winno mieć miejsce szczególnie względem urzędników

kontraktowych i prowizorycznych". Jeszcze inny pomysł, godny uwagi, który interesuje kobiety — żony urzędników, wygląda w sposób następujący: „...słusznym byłoby również zniesienie dodatku ekonomicznego“ (t.j. na żony i dzieci).

Wprost wierzyć się nie chce, że tego rodzaju zamierzenia mogły się zrodzić w umysłach urzędników i to przypuszczać należy wyższych, że tak niski poziom społeczny i tak małe poczucie rzeczywistości może panować wśród urzędników państwowych, choćby nawet nielicznych jednostek. Świadczy to jednak niezbieżnie, że poziom umysłowy i moralność społeczna, (bo sądzę, że przyczyną tych pomysłów jest krótkowzrostny egoizm autorów), w pewnych kołach urzędniczych są jeszcze zbyt niskie, że nad podniesieniem tego poziomu trzeba jeszcze poważnie popracować.

Skoro „Związek Urzędników z wyższym wykształceniem” stara się przedewszystkiem wysunąć na czoło posiadane studja, to powinien wiedzieć o tem, że kobiety mają co najmniej te studja, jakie wymaga ustawa, a naogół większe, niż są stawiane przez przepisy. Urzędniczki bowiem III kategorii (czynność pomocniczo-kancelaryjna) mają co najmniej średnie wykształcenie, a II kategorii więcej niż średnie, nie-

liczne zaś jednostki, które biorą udział w pracy referendarskiej, mają z reguły wyższe studja. Wykazał to Główny Urząd Statystyczny w pracy p. t. „Funkcjonariusze Państwowi Służby Cywilnej”, z której dane przytaczano już dwukrotnie w artykułach, zamieszczonych w „Bluszczu”.

Nie wiemy, jak się do pomysłów „Związku Urzędników z Wyższym Wykształceniem” odniosą kompetentne władze — przypuszczam jednak, że nie znajdą one we władzach podatnego gruntu. Sądzę, że nie popełnię przesady, gdy zapytam się, czy te pomysły nie będą dla władz rodzajem egzaminu praktycznego ich autorów i czy nie zwrócą one uwagi na brak kwalifikacji do służby administracyjnej, przynajmniej kierowniczej, tych panów, którzy mieli odwagę popisywać się memorjami, złożonymi z tak charakterystycznych wywodów.

Reformatorskie postulaty „Związku Urzędników z uniwersyteckim wykształceniem” świat kobiecy nie może pokryć milczeniem.

Najnaiwniejsze bowiem pomysły, o ile im się nie przeciwstawić i pozwolić na kiełkowanie, mogą wyrządzić szkody, choćby tego rodzaju, że poszczególne kierownicy urzędów, zaprzątnięci sprawami merytorycznymi, bez głębszego wniknięcia zaczną je realizować.

M. W.



Z RUCHU PACYFISTYCZNEGO W POLSCE



Ruchu pacyfistycznego nie należy lekceważyć, a tem mniej potępiać go, w imię, jakoby, gorętszego patriotyzmu, tem bardziej, że, o ile kierują nim nie doktrynerzy, a ludzie umiejący patrzeć prawdzie życia przeto w oczy, nie powinien on zejść na manowce, na których zapomina się o konieczności i obowiązku obrony najdroższych dla każdego narodu skarbów: własnej państwowości, niezależnego politycznego bytu. To zbłąkanie się byłoby dla naszego pacyfizmu nadwyróżniebezpieczne. Przyjrzyjmy się zatem przejawom jego działalności.

Stowarzyszeń, poświęconych wyłącznie szerzeniu idei pokoju, mamy w Polsce, o ile nam wiadomo, dwa: „Towarzystwo przyjaciół pokoju”, na którego czele stoi dr. Polak i „Polską Sekcję Między-

narodowej Kobiecej Ligi dla pokoju i wolności”, której przewodniczy dr. Budzińska-Tylicka. Poza tem są związki, które punkt ten mają w swoich programach, nie służąc mu wyłącznie. Takim jest „Polskie Towarzystwo Teozoficzne,” oraz „Stowarzyszenie Młodzieży” (Y.M.C.A.). Istniejąca u nas sekta kwaków uważa walkę z militarystką za obowiązek religijny. Zbliżone wreszcie do tego kierunku jest „Stowarzyszenie przyjaciół Ligi Narodów,” choć posiada charakter o wiele bardziej polityczny, niż wyżej wymienione organizacje.

Ostatniemi czasy pacyfiści polscy weszli w stosunki bliższe z pacyfistami niemieckimi. W kwietniu roku ubiegłego miał miejsce pierwszy zjazd porozumiewawczy w Gdańsku. Ze strony polskiej wzięli w nim udział, prócz delegatów obu stowarzyszeń pokojowych, także przedstawiciele kwaków, Tow. teozoficznego i Y. M. C. A.

Ponieważ okazało się wówczas, że porozumienie nie jest niemożliwe, naznaczono następny zjazd w Warszawie.

Przed kilku miesiącami, po zawarciu paktu w Locarno, członkinie niemieckiej i polskiej sekcji „Kobiecej Ligi dla pokoju i wolności“ wydały wspólną enuncjację, w której czytamy między innymi:

„Rzeczywiste porozumienie między dwoma narodami może być tylko wtedy, gdy jest ono oparte na równości praw, na obopólnym poszanowaniu i na celowym ułatwianiu współżycia ekonomicznego.

Wreszcie w połowie lutego r. b. odbył się w Warszawie ów zapowiadany zjazd polsko-niemiecki, z którego pragniemy czytelnikom naszym zdać sprawę.

Z Niemiec przybyło 10 osób, a więc z Berlina dr. Simons, dyrektor Szkoły nauk politycznych, z Wrocławia pani Koneczny i ks. Hofman, z Frankfurtu nad Menem panna Petzold, delegatka „Weltjugendliga“ (Międzynarodowa Liga młodzieży), nadto dwie osoby z Frankfurtu nad Menem, dwie z Królewca i dwie z Berlina.

Ze strony polskiej delegowali przedstawiciele: „Tow. przyjaciół pokoju“, „Polska sekcja Ligi Kob. dla obrony pokoju i wolności“, Tow. teozoficzne, Y.M.C.A. i Kwakrzy. Towarzystwo przyjaciół Ligi narodów udziału w obradach nie brało.

Zjazd trwał dwa dni i poruszał zagadnienia następujące:

„O mniejszościach narodowych“ referował poseł Łypacewicz, „O znaczeniu paktów w Locarno“ mówił dr. Simons, „O przyjaźni międzynarodowej“ — p. Dynowska, przewodnicząca „Tow. Teozoficznego“, „O kulturalnem zbliżeniu polsko-niemieckiem“ — p. Strążycki. Ten ostatni temat wywołał najżywsze zainteresowanie. Okazało się z dyskusji, że goście nasi bardzo mało znają Polskę, że nie mają pojęcia o skarbach naszej kultury, o dawności jej cywilizacji.

Na wniosek p. Zofji Dąbskiej postanowiono wyłonić osobną Komisję kulturalno-wydawniczą, która by się zajęła wymianą książek i korespondencji, wydawnictwem przekładów, wymianą młodzieży na czas wakacyjny i t. d. Czynności tych podjęła się ze strony niemieckiej organizacja młodzieży (Weltjugendliga).

Zakończono zjazd posiedzeniem publicznym, na które dopuszczono i prasę, choć prasa u pacyfistów nie ma dobrej marki.

Posiedzenie to obfitowało w momenty bardzo interesujące.

Z wielką swadą mówiła pani Koneczny z Wrocławia. Mówiła po niemiecku, choć, sięgając do wspomnień osobistych i procesów duchowych, przez które przeszła, wspomniała, że do lat ośmiu wychowywała się w „Prowinc Posen“, że, dzieckiem będąc, mówiła po polsku, że pragnęła uczyć się tego ję-

zyka w szkole ludowej, ale jej tego zabroniły ówczesne władze niemieckie; zwierzała się mówczyni z wrażenia, jakie na nią wywarło powiedzenie koleżanki Polki: „Ihr habt uns die Provinz Posen gestohlen“ (wyście nam Poznańskie ukradli). Przez całe życie wyczuwała hańbę tego zarzutu i fakt zetknięcia się ze sprawą polską, działalność komisji kolonizacyjnej, na którą patrzyła — przyczyniły się w znacznym stopniu do nadania światopoglądowi jej obecnej fizjonomji. Pani Koneczny jest nieprzejednanym wrogiem wojny.

„Nie za ojczyznę polegli — mówiła — ci, co polegli na wszystkich pobojuwiskach świata. Dali młode żywoty swoje za naftę, za kauczuk, za żelazo i węgiel, za wszechmoc trustów, za panowanie nad światem wielkich przedsiębiorstw akcyjnych itd.“

Oczywiście jest w tem dużo prawdy, ale nie dla nas Polaków.

Gorszyła się pani Koneczny faktem, że młodzież polska przechodzi kurs przeszkolenia wojakowskiego.

I tu mamy dowód, jak trudno jest najszlachetniejszemu cudzoziemcowi wleźć w skórę sąsiada. Pani Koneczny nie rozumie, że dwie groźne chmury, z dwóch stron na Polskę ciągnące, w oczach najskrajniejszego jej pacyfisty przygotowanie wojskowe usprawiedliwiać powinny, nie rozumie, że nam od najszlachetniejszej doktryny droższą jest niepodległość Polski, od najwznioślejszej teorii — droższe nam jest nasze wolne życie!

Bardzo gorąco i szczerze przemawiał katolicki ks. Hofman z Wrocławia. I ten zetknął się z Polską, jako duszpasterz robotników polskich w Lignicy. Wzruszała go zawsze i zastanawiała głęboka, nieugięta wiara Polaków „in das Zmartwychwstanie“, a gdy Ludendorff zmuszony był ogłosić niepodległość Polski, powiedział sobie ks. Hofman z myślicielem niemieckim: „Die Weltgeschichte ist das Weltgericht“. (Historja świata jest sądem świata).

Czyż nie ciekawem jest dowiedzieć się, jaki refleks znajdowały te wypadki w duszach uczciwych Niemców?..

Ks. Hofman przemawiał przeciw nałogowej podwójnej moralności — innej w życiu prywatnym i innej w polityce i nawoływał do stosowania zasad chrześcijańskich w stosunkach międzynarodowych.

Dr Simons mówił krótko, kładąc nacisk na konieczność wzajemnego poznawania się narodów. Stwierdził, że ludziom, którzy przybyli z Niemiec do Warszawy, zdawało się, że coś niecoś wiedzą o Polsce, że jednak „żywa moc rzeczywistości“... i t. d. A komentarz zakulisowy do tego powiedzenia jest podobno, że uczony dr. Simons nie wyobrażał sobie, iż znajdzie nad Wisłą społeczeństwo na tym poziomie kultury, zdziwił się na „Strasznym Dworze“, że



pierwszy raz usłyszał nazwisko Moniuszki, że Polacy mają taki teatr, takich śpiewaków, taką wystawę i t. d.

To są w każdym razie pożyteczne obustronne rezultaty międzynarodowych zjazdów.

Miłym epizodem było przemówienie młodzieżkiej delegatki „Weltjugendliga“, panny Petzold.

Następny Zjazd polskich i niemieckich pacyfistów odbędzie się w Berlinie. Przybyłym zapewnio-

no wszelkie wygody, noclegi w prywatnych domach, przyjęcia całodzienne, bezpłatne bilety do teatru. Pokazywano im Zamek, Łazienki, Stare Miasto, Zachętę.

Niewątpliwie wrażeń ujemnych nie wynieśli, a sympatje ich, już niegdyś przez polskie nieszczęścia zbudzone, pogłębiły się szacunkiem dla wolnego i na przyszłość swą gorliwie pracującego narodu. Pacyfiści nasi złej roboty nie robią. H. C.

SZKOLNICTWO W ŁODZI



ktoby to pomyślał, chodząc po zadmionych, czarnych, błotnistych ulicach tego miasta bez tradycji, bez pamiątek, bez stylu, bez wdzięku — że ze wszystkich polskich miast właśnie ono może być nazwane miastem szkół. I jakich szkół! Przecież te gmachy szkolne, które miasto zbudowało i buduje, a potem oddaje państwu na szkoły publiczne, to prawdziwe pałace! Na Bałutach, na tych czarnych Bałutach, w najuboższej dzielnicy, przy ul. Nowo-Drewnowskiej wznosi się taki pałac: szkoła powszechna o wspaniałych salonach, znakomitych pracowniach, centralnem ogrzewaniu, posiadająca własne kąpiele i natryski dla dzieci.

Przy ulicy Nowo-Marysińskiej — prześliczna szkoła z werandą oszkloną, gdzie dzieci mogą używać kąpiele słonecznych, z własnymi boiskami do gier.

Przy ulicy Zagajnikowej pierwszy gmach szkoły powszechnej wybudowany przez Magistrat. Sale i korytarze pełne światła; klasy ozdobione kwiatami, biblioteka dziecięca w miejscu.

Dzieci anormalne, niezdolne, które nie mogą dać sobie rady na poziomie zwykłej szkoły powszechnej — podlegają badaniom miejskiej Pracowni Psychologicznej i, o ile zostaną skwalifikowane, jako niedorozwinięte, odsyła się je do szkoły specjalnej. Szkół takich jest trzy.

Uwzględnia się w nich rodzaj upośledzenia umysłowego każdego z dzieci. Wychodząc z założenia, że upośledzenie intelektualne pozostaje na tle wadliwego przyjmowania wrażeń zmysłowych, kształci się specjalnie zmysły — oraz zdolność skupienia uwagi.

Dzieci uważne dostają bezpłatnie obiady, dostarcza ich Wydział Opieki. Dzieci wątle piją tran. Daleko mieszkające — mają bezpłatny przejazd tramwajami.

W szkołach specjalnych dla moralnie zaniedbanych uczą się osobno chłopcy, osobno dziewczęta, wykazujące wyraźnie złe skłonności, a przez to szkodliwych w środowisku dzieci przeciętnych. Niema tu żadnego stałego systemu kar, przeciwnie, każdy dobry postęp jest skwapliwie podnoszony i wyróżniany całym szeregiem t. zw. „nagród“.

Dzieci chore na jałglicę — a tych jest w Łodzi bardzo dużo — nie zarażają innych, ani też nie przerywają nauki, tylko poprostu uczęszczają do „szkół jałgliczych“. Są trzy takie szkoły.

O nikim więc tu nie zapomniano w tym ogromie pracy, wykonanej przez Magistrat miasta Łodzi.

O nikim nie zapomniano dosłownie — bo każde z przeszło 60,000 łódzkich dzieci w kartotece Komisji Powszechnego Nauczania — mas swoją kartę z imieniem, nazwiskiem, datą i dziejami szkolnemi. Komisja Powszechnego Nauczania wie o każdym dziecku: w jakiej szkole się uczy, czy zmieniało szkołę itd.

Cóż to jest ta Komisja Powszechnego Nauczania? Jest to instytucja powołana do życia przez uchwałę Magistratu w czerwcu 1919 r. Stosunki szkolne w Łodzi przedstawiały się wówczas całkiem inaczej. Zaledwie 30000 dzieci korzystało ze szkół.

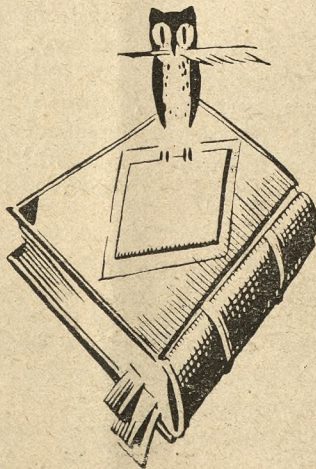
Komisja Powszechnego Nauczania składa się z 21 członków: są tam członkowie Rady miejskiej, Magistratu, Rady Szkolnej, Wydziału Oświaty i Kultury, Inspektor szkolny, przedstawiciele rodziców, nauczycielstwa i Urząd Zdrowia.

Zaprowadziła ona przymus szkolny. Prawdziwy przymus szkolny, stosowany zapomocą Komitetów Dzielnicowych. Z początku przymus ten odnosił się tylko do kilku roczników — zupełny nie mógł być, bo brakowało i szkół i nauczycieli. Trzeba więc było szkoły zakładać, lub budować. Nauczycieli kształcić i przygotowywać, rodziców przyzwyczajając do posyłania dzieci do szkół — używać całego systemu nakazów, a nawet kar (grzywnien i aresztu).

I wszystkiego tego dokonała Komisja Powszechnego Nauczania w ciągu tych siedmiu lat! Obecnie zaledwie sześć proc. dzieci łódzkich nie korzysta ze szkół, a z tych tylko jeden procent wypadków nieusprawiedliwionych.

Pod względem zaś regularności uczęszczania dzieci do szkół, szkolnictwo łódzkie zbliża się cyfrowo do szkolnictwa w Anglii.

O Miejskiej Szkole Pracy muszę opowiedzieć osobno. Zalicza się ją do szkół specjalnych, choć ma program zwykły 7-mio oddziałowej Szkoły powszechnej. Utrzymywana jest z fundusów miejskich — lecz nie ma własnego gmachu i mieści się w wynajętym domu przy ul. Piotrkowskiej.



Zalicza się ją do szkół specjalnych, gdyż ma zupełnie inną organizację, niż szkoły powszechne.

W Szkole Pracy dzieci schodzą się do wielkiej sali rekreacyjnej, już przed ósmą rano, ustawiają się w rzędy i z muzyką i śpiewem maszerują, każdy oddział do swojej klasy. Siadają na krzeselkach przy stolikach.

Zaczyna się lekcja.

Byłam na takiej lekcji w jednym z młodszych oddziałów. Dzieci formułowały i uchwałyły to, co w tej szkole nazywa się „postanowienia”.

„Postanowienia”—jak należy postępować. Co trzeba robić, a czego nie wolno. W tym wypadku chodziło o „postanowienia”, jak dzieci mają się zachowywać na t. zw. „małych pauzach”. Małe pauzy wypadają niejednocześnie dla wszystkich oddziałów: w jednym jest pauza, w drugim, zaraz obok, za ścianą, odbywa się lekcja.

— Nie trzeba im przeszkadzać!—na to zgadzały się wszystkie dzieci. Naturalnie. Nie trzeba przeszkadzać. Łatwo to powiedzieć, ale jak zrobić?

Nauczycielka odgrywała rolę przewodniczącej zebrania. Pomagała formułować wnioski. Udzielała głosu.

Ryś podnosi palce.

— Trzeba zrobić takie postanowienie: nie krzyczeć i nie bić się.

Hania podnosi palce.

— Cóż z tego, że nie będziemy krzyczeć i bić się? Jak będziemy suwać ławkami, to i tak będzie hałas, bez naszego krzyku!

— Więc trzeba postanowić siedzieć na ławkach. I nogami na ławki nie wchodzić!

Hania jest nieubłaganie logiczna i spokojna.

— Jeżeli postanawiamy siedzieć na ławkach, to już nie trzeba postanawiać nie wchodzić nogami. Bo kto siedzi, to nogami po ławce nie może skakać, choćby chciał!

I znowu podnoszą się małe palce, i znowu inne, i znowu inne...

Powoli „postanowienia” krystalizują się i przyjmują ostateczną swą formę. Cała klasa wciąga się do tej pracy—wszystkie prawie dzieci zabierają głos poważnie, kolejno. Los małych pauz jest już przesądzony!

Tak oto szkoła dąży do wytworzenia samorządu. W taki oto sposób dzieci uczą się same stanowić prawa—i prawom tym podlegać.

W innej klasie, u jeszcze młodszych, odbywa się lekcja o wróblu. Grupy po czworo, pięcioro dzieci zwracają się krzeselkami tak, żeby mogły oglądać razem wypchanego wróbla. Nauczyciel każdej grupie rozda je po jednym okazie. Dzieci kolejno podnoszą palce, zabierają głos, robiąc swe uwagi o tym wróblu.

— On ma taki dziobek na końcu śpiczasty!

— I pazurki—trzy wykręczone do przodu, a jeden w tył.

— Ogonek to ma szerszy przy końcu tak, jak wachlarz.

— Główkę ma czarną, a brzuszek taki biały!

— I takie szare „futerko!”

— Proszę pana! On źle powiedział futerko! Bo ptaki mają pierze, a nie futerko!

Nauczyciel wysłuchuje tych obserwacji, sprostowuje, pomaga formułować. A trzeba wiedzieć, że dzieci miasta Łodzi bliższe są fabryk i kominów, niż przyrody. Mało jej widzą i mało o niej wiedzą—nie żyją z ptakami, ani z kwiatami, ani z drzewami. Niełatwo jest naprowadzić je na jakąś syntezę, na ostateczne jakieś sformułowanie luźnych obserwacji. Chodzi o to, żeby co wiedzą, wiedziały z własnych spostrzeżeń, lecz trudność polega na ubóstwie tych spostrzeżeń i bardzo ograniczonemu polu widzenia.

W starszych klasach uczniowie przeprowadzają zupełnie samodzielne badania co do jakiegokolwiek przedmiotu, znanego z codziennego życia. Np. owoce, lub jarzyny. Gdzie rosną, jak się je uprawia? Do czego służą? Co można z nich zrobić? Ile kosztują? Jaki jest dzienny targ ogrodnika ulicznego, handlarza, zieleniarki, właściciela owocarni? Jakie zakupy matka robi na zimę?

Wszystkie dane dzieci muszą same zebrać. I to zupełnie dokładnie. w cyfrach. Ale i to jeszcze nie wyczerpuje przedmiotu.

Pozostaje pytanie, czy nie można jeszcze czego dowiedzieć się o tem z książek? Trzeba poszukać w czytankach, w wypisach. Od czegoż jest biblioteka? Trzeba nauczyć się posługiwać książkami, szukać w katalogach.

Z tych badań wynikają samodzielne wypracowania piśmienne i ćwiczenia rachunkowe. Wszystko z życia, z prawdziwego życia.

Zbytecznymi i zgoła martwymi stają się w porównaniu z tem szablonowe zadania z podręcznika o asenie, do którego woda jedną rurą się wlewa, a drugą wylewa, o podróży A i B, którzy zdążają do punktu C z ntejednakową szybkością...

Tak to wygląda praktycznie ta Szkoła Pracy. Zasada zaś jest taka.

Samodzielne badania i doświadczenia—porządkowane i formułowane z pomocą nauczyciela. Nawiązanie nauki do życia i wyprowadzenie jej z najbliższego otoczenia. Za naukę podstawową przyjęto tu krajoznawstwo, pojmowane jako poznawanie rodzinnej miejscowości pod względem geograficznym, przyrodniczym, przemysłowym, handlowym, kulturalnym. Dokoła tego przedmiotu grupują się inne, jak: język polski, arytmetyka, historia i t. d.

Typowy przebieg lekcji wygląda następująco:

- 1) Nauczyciel (czasem uczeń) stawia zagadnienia.
- 2) Rozważanie sposobu rozwiązania tego zagadnienia. Ustalenie planu działania.
- 3) Rozwiązanie, t.j. dokonanie pracy.
- 4) Sprawozdanie z wykonanej pracy.
- 5) Ocena tej pracy.

Pod względem społecznym Szkoła Pracy na pierwszym miejscu stawia sobie za zadanie wychowanie obywateli. Polskich obywateli.



Ważnym czynnikiem ma tu być ów zapoczątkowany zaledwie samorząd, a także system grupy. W tych grupach po czworo, lub pięcioro dzieci zdolniejsze pomagają słabszym. W ten sposób rozwiązany jest problem, co mają robić w szkole jednostki, przerastające ogół zdolnościami i inicjatywą.

Już od drugiej klasy tworzą się biblioteki, czytelnie pism, zbiory. Klasa czwarta prowadzi sklepik. Co tydzień odbywają się zebrania, na których omawiane są sprawy szkolne. Tworzą się komisje. Z biegiem czasu zebrania te przekształcają się w sej-

miki, a komisje w instytucje życia samorządowego, opartego na unormowanej przez życie szkolne konstyтуcji.

Szkoła Pracy istnieje od 1922 roku. Liczy 4 oddziały, z których 2 są równoległe, czyli razem 6 kl. Co roku powstaje nowy oddział — i tak będzie aż do VII włącznie. Jest placówką eksperymentalną, szuka nowych dróg, sposobu przystosowania nauki do potrzeb życia współczesnego. Za cel stawia sobie wychowanie obywateli, za środek do tego celu wiodący przyjmuje uspołecznianie i wdrażanie do pracy dobrowolnej i samodzielnej. *Helena Boguszewska*



JADWIGA HANDELSMANOWA

PO ZAMKNIĘCIU WYSTAWY PARYSKIEJ

(dokończenie)

Druga część naszej wystawy, gdzie są pomieszczone „wnętrza,” mieści się w wielkiej galerji na esplanadzie Inwalidów. Prym tu trzyma kapliczka Szczepkowskiego (wyk. p. II-ą szkołę rzemieślniczą miejską w Warszawie), której krytyka nasza i obca przyznaje zgodnie jedno z najpiękniejszych miejsc na wystawie. Całe wnętrze wykonane z sosnowego drzewa, którego złocisty ton, podniesiony umiejętnym oświetleniem i szafirowymi barwami kilimów, pokrywających boczne ławy, nadaje jej swoisty, niezapomniany charakter. Od gwiazdy, umieszczonej w pośrodku głównej belki, rozchodzą się cięte w drzewie promienie, jako zasadniczy motyw dekoracyjny, przecinają nawskroś ołtarz i ścianki, po bokach jego umieszczone.

Ołtarz wyobraża Narodzenie: pośrodku Matka Boska z Dzieciątkiem, u stóp jej osioł i wół, a z pośród promieni wychylają się postacie aniołów. Na ściankach bocznych mamy królów, grajków i pasterzy, śpieszących z pokłonem, a w narożnych słupach cztery postacie grających aniołów. Najbardziej nas uderza, że to jest naprawdę nowe. Cała rzeźba przystosowana niesłychanie zarówno do konstrukcji, jak i techniki drzewnej. Liczy się z tem ciągle, że jest dekoracją. A zarazem co za wyrazy twarzy: wprost nie do wiary przytem uproszczenie formy. Przepiękna jest zwłaszcza skupiona twarz anioła ze skrzypcami na jednym ze słupów. Nic w całości dodać, nic ująć — jest to dzieło skończone i dobrze o Polsce świadczy.

Po drugiej stronie przedsionka jeszcze dwa wnętrza: jadalnia, projektowana przez Jastrzębowski (wyk. przez Jaszczółta) z jasnego drzewa, które pięknie odbija od ścian, obciążniętych szafirowym, batikowanym obiciem (wyk. p. Kogutównę w Krakowie). Meblom można zarzucić za duże ozdoby (np. górna część kredensu), co tworzy mocno ciężki „barok nowoczesny”, całość jednak ładna, wesół i miła. Natomiast gabinet Kotarbińskiego (wyk. p. Herodka w Warszawie) o wiele ciekawiej zapowiadał się w projekcie. Jest w nim dużo nowych poszukiwań i to dobrze rozwiązanych, ale meble ciężkie, stłoczone na małej przestrzeni i nie korzyst-

nie ustawione, ciemne na ciemnym tle akcentują swe wady, zamiast uwydatnić wielkie zalety, które posiadają. Ostatnie wnętrze zostało poświęcone kilimom. Wybór naogół dobry, choć brak np. kilimów z pracowni M. Śliwińskiej, których wytworna kompozycja pokazałaby obcym, że potrafimy robić rzeczy subtelne, obok śmiałych i brutalnych. Najlepsze są kilimy B. Tretera (wyk. „Kilim” w Zakopanem i „Kilim Polski” pod Warszawą), które łączą dawną tradycję z nowoczesną kompozycją i poważnie liczą się z techniką, dalej idą p. Koseckiej („Tarkos” w Zakopanem), doskonale zwłaszcza w kolorze, pozostawiają sporo do życzenia pod względem wykonania, i J. Czajkowskiego („Kilim Polski”).

Obok galerji na esplanadzie mamy oddzielną część ogrodu, przeznaczoną na „atrakcje” polskie. Mała estrada kryta, weranda restauracyjna i kiosk do sprzedaży przedmiotów przemysłu artystycznego — całość niewiadomo dlaczego nazywa się „Maisonette polonaise”. Na estradzie miały się odbywać widowiska, czy koncerty popularne polskie. Byli jednak tylko przez czas krótki górale, podobno powodzenia nie mieli, czemu się nie dziwię, bo to, co jest piękne i charakterystyczne na tle gór, w otoczeniu wystawowem musiało się wydawać groteskowem. Szkoda na to górali!

W restauracji potrawy i usługa były rosyjskie, trudno mi zaś orzec jaki był kiosk. Ośmiokątny w planie, pokryty bardzo wysokim dachem, pomalowany na zielono i żółto, na szczycie uwieńczony „konikiem zwierzyńieckim”, nasuwał reminiscencje bardzo dalekiego wschodu. O koniku zwierzyńieckim nie bardzo wiedzą w Warszawie, w Paryżu ta brodata wschodnia kukła wywoływała tylko wzruszenie ramion.

W kramie, oprócz kilimów i batików o różnym poziomie, sprzedawano okropne lalki „krakowskie” i naszyjniki z paciorków, podobno w Paryżu przez polki robione.

Nasza artystyczna kolonja paryska była wogóle przez komitet tak zignorowana, że te przedmioty sprzedawane chyba były przez filantropję z wielką

ujmą dla opinii o naszej produkcji! Należało się raczej zrzec tego miejsca na wystawie, niż tak je urządzić.

Drugim nieudanym działem była część naszej wystawy, pomieszczona na dole w Grand-Palais. Co prawda miejsce było szczupłe, ale i to nie zostało dostatecznie wyzyskane. Mijamy dział hiszpański i holenderski i wchodzimy do salki, przeznaczonej na grafikę polską. Na ścianach 7 czy 8 afiszów „oprawnych w ramki” wisi sobie jak na wystawie obrazów, jeden od drugiego w przyzwoitej odległości, w gablotkach kilka książek ilustrowanych, Stryjeńska, Skoczylas, parę opraw, kilka arkuszy papierów wklejkowych (małe arcydzieła Lenarta z Wilna), wszystko bardzo dobre, ale dlaczego tak mało? Przecież w tym dziale mamy co pokazać i czem się pochwalić.

Przechodzimy do środkowej salki, po obu jej stronach maleńkie korytarzyki, sztucznie oświetlone, w niskich i wąskich gablotkach, mieszczą z wyjątkiem kilimów, wszystkie okazy naszej wytwórczości artystycznej. Stłoczone jeden na drugim, batiki, hafty, zabawki, ceramika i nawet kryształy, 3 sztuki, gdy obok są dwie wielkie sale, pełne wspaniałych dzieł czeskich.

Głęb środkowej sali, najpocześniejsze miejsce, zajmuje sztuka ludowa. Te ładne i miłe rzeczy zgromadzone z różnych okolic, a pomieszane ze specjalnie komponowanymi przedmiotami (żyrandol kwiatowy u wejścia) wprowadzają tylko w błąd cudzoziemców. Po obu stronach wielkiego okna dwie nisze mieszczą fragmenty wewnątrz, kilimy i gobelin projektowany przez Skoczylasa, wykonany w pracowni niżej podpisanej. W ostatniej salce zgromadzono rysunki architektoniczne i plany, mało ciekawe, przeważnie fragmentaryczne, i nie dające żadnego pojęcia o tem, co się u nas w ostatnich czasach budowało. W całym tym dziale, w którym celem głównym powinna była być propaganda, nie zrobiono dla niej nic zupełnie i w dodatku niema objaśnień, ani nazwisk*). Gdyby sądzić po tem co tam wystawiono, przemysł artystyczny u nas ograniczałby się do prób dyletanckich.

A przecież tak nie jest. Mamy przede wszystkim kilimy, których większość była na esplanadzie, a których należało i można było dać 3 razy tyle (prawie wszystkie wystawione zostały sprzedane, niektóre po kilka razy); mamy doskonale druki, afisze, książki; mamy zabawki warsztatów krakowskich i firmy Gnom, przesłiczne budownictwa projektu Noakowskiego,

* Muszę się zastrzec, że do nielicznych wyjątków, których nazwiska były podane przy eksponatach, należałam i ja. Uważam, że w tego rodzaju wystawach powinny być podane nazwiska i adresy artystów i warsztatów, tak, jak to czyniła większość innych narodów, a co zaniedbano uczynić u nas.

a także ich zwierzęta toczone i pajacyki, które ofiarowane dzieciom francuskim zachwyty wzbudzają, mamy oryginalne ozdoby choinkowe, odrębne batiki, i wcale niezłą ceramikę. Należało dać nie pojedyncze sztuki zabawek, rozstawione niby bibeloty, ale całe ich stopy, w dziale graficznym pokryć ściany afiszami, w innych batikami i kilimami. Ale już od początku organizowania naszej wystawy dział przemysłu był stale negliżowany. To też wyznać trzeba, że obok innych narodów Czechów, Szwedów, Duńczyków wyglądaliśmy niestękanie ubogo. Widziałam u Czechów model niewielkiej koszykowej serwetki sprzedany 50 razy, czyż może być lepsza propaganda? u Duńczyków, zaledwie zauważono moje zainteresowanie, już bardzo miła panna pośpieszyła z objaśnieniami i wręczyła wspaniałe wydane katalogi. U nas oprócz kilimów nic nie sprzedano, a młodzieniec, którego obowiązkiem było udzielanie objaśnień, czytał romans z takim zapałem, że trudno mu było sprawić przykrość, przerywając pytaniami pasjonującą lekturę.

Z żalem, goryczą i trochę ze wstydem opuściłam ten dział nasz, by na I em piętrze Grand-Palais zwiedzić sekcję szkół zawodowych. Nie widziałam w Warszawie wystawy próbnej, urządzonej w Zachęcie i teraz z przyjemnością i dumą stwierdzić mogłam, że tu nam żadne porównania nie szkodzą, że i projekty i wykonane już przedmioty przewyższają eksponaty innych krajów pod względem pomysłów, a dorównują im pod względem wykonania. Przytem układ jasny, tablice objaśniające i porównawcze, pozwalały każdemu, kto chciał im chwilę czasu poświęcić, zorientować się zupełnie łatwo. Na naczelne miejsce wysunęły się: szkoła snycerska w Zakopanem, pozostająca pod kierunkiem K. Stryjeńskiego, która dała przesłiczne i dalekie od dawnej banalności figurki; szkoła przemysłu artystycznego w Krakowie (dyr. Raszka), a także szkoły w Warszawie i Poznaniu.

Na zakończenie wymienić należy nazwisko człowieka, którego energii i wytrwałości zawdzięczać należy, że mimo ciężkich czasów inflacji z okresu przygotowań do wystawy — Polska się na niej znalazła i była tak poważnie reprezentowana. Jest nim komisarz polski do spraw wystawy Jerzy Warchałowski. Połnosząc wysokie wartości naszej wystawy, podkreślałam też mocno jej braki i wady. Czyniłam to świadomie. Wystawa paryska była naszym pierwszym większym wystąpieniem artystycznym na forum międzynarodowym. Z jej doświadczenia i błędów, które zwykle pierwszym wystąpieniem towarzyszyć muszą, należy wyprowadzić wnioski praktyczne i wskazania, które się przydać mogą na przyszłość. Z Paryża wynosimy przekonanie, że mamy i artystów i wykonawców pierwszorzędnych, ale musimy się nauczyć lepiej organizować i przedstawiać wartości naszego przemysłu artystycznego przynajmniej na miarę jego istotnego rozwoju.



HANNA MORTKOWICZÓWNA

DEPESZA

Chłupnął z pod ciężkich butów lekki strumień błota,
 Ktoś dwojgiem twardych pięści do bramy łomotał,
 Ktoś poprzez stukot bramy, poprzez jazgot stróża
 Dudnił, dudnił krokami po studni podwórza.
 Potem głośnie oddechy, prętkie, coraz prętsze
 Zasapały na pierwszym i na drugim piętrze.
 Cisza! Już czyjaś ręka po odrzwiach się błąka...
 I nagle gęstą ciemność przeszył świder dzwonka,
 Zawibrował, zachrypiał, ciepło snu przewiercił
 I w bezwład niepamięci zionął zimnem śmierci!
 Znow cisza. — Potem w krzesel przewracanych chrzęście
 Zachrobotało nagle zbudzone nieszczęście.
 Płomyk zapalki syknął, zaświecił i zniknął.
 Ktoś się potknął, ktoś jęknął, ktoś w półsenny krzyknął,
 Ktoś bosych nóg tętentem w ciemności się spieszył,
 W czyjeś trzęsące ręce padł zwitek depeszy,
 I czyjaś dłoń na strzępy szary papier darła.
 I ktoś krzyknął: „Umarła, umarła, umarła!“

POCIECHA

Przejdzie wiek — ostre szpony przytępi lub wydrze
 I przesypie się piasek na czasu klepsydrze...
 Zżółknie marmur grobowca, zblakną krwawe plamy,
 Gdyśmy przetrwali tamto — i wieczność przetrwamy.
 Ach wszystko się przecierpi, wszystko się przeczeka,
 Wróci uśmiech na usta, z łez oschnie powieka,
 Rana przestanie krwawić, blizna się zasklepi —
 To nic. Zaciśnij zęby. To nic. Będzie lepiej.



HELENA CEYSINGERÓWNA

MYŚL O TEM CO CHCESZ

(nowela)

7

Gdzie one mnie nie prowadziły! na jakieś oparzeliska, w głębi lasów, gdzie musiały być chyba podziemne, ciepłe źródła, bo ziemia tam nie zamarała nigdy i zieleniły się mchy, drobne paprotki, bluszcz leśny i inne nieznanne mi roślinki, a po wodach i bajorach zimowały stada dzikiego ptactwa. Dowiedziałam się teraz, skąd przyniosły dzieci swój bukiet wigilijny. Prowadziły mnie w głąb tego uroczyska po zwalonych pniach olbrzymów leśnych, znanymi sobie tylko, suchszymi ścieżynami, czasem skacząc z kępy na kępę.

— To jest uroczysko — mówiły — kraj zaczarowany, widziany tylko w snach i pani teraz śpi, a to wszystko, co dokoła, to czar snu.

Prawie gotowa byłam im uwierzyć, zwłaszcza gdy z głębi niedostępnej tych moczarów wstały mgły i oddzielnymi słupami chodziły po puszczy, wydłużając się w fantastyczne kształty bajecznych królewien, wielogłowych smoków, konnych rycerzy...

W tej zaczarowanej krainie szukały dzieci uporczywie ptaka, zwanego zimorodkiem. Twierdziły, że kiedyś znalazły tam jego gniazdo. Opisywały przepych barw, które malowane są jego pióra i zapewniały, że jest to także ptak zaczarowany, który w zimie, gdy dokoła jeszcze śniegi i lody, wije swoje gniazdo. Upatrywały go ciągle i raz po raz zdawało im się, że dostrzegają wśród gałęzi krase jego skrzydła.

— A wie pani, mama powiedziała, że my też jesteśmy zimorodki — zwierzył mi się Władzio.

— Jakto? dlaczego?

— Nie wiem — mówił poważnie — ale myślę, że dla mamy ten czas, gdy my urodziliśmy się, był zimą... i dlatego...

— Zrobiło mi się przykro.

Jakże można mówić dzieciom takie rzeczy!

Biedne ptaszęta, biedne zimorodki!

— A także powiedziała mama, gdy jej opowiadaliśmy o tem uroczysku, że każdy człowiek ma w sobie taką zaczarowaną krainę, gdzie wśród zimy nawet kwitnąć mogą błękitne kwiaty i przelatywać ptaki purpurowe i złote i że ta kraina nazywa się duszą... Czy i pani w to wierzy?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc rzekłam szczerze

— Nie myślałam o tem nigdy, ale teraz pomyślę i powiem ci.

Zimorodki prowadziły mnie dalej w krainę mgieł, opowiadając podania ludowe o zatopionych miastach, o dzwonach, wołających smętnymi głosami z głębi zaczarowanych jezior... I znowu wytwarzała się atmosfera chorobliwego marzenia, od którego chciałam uchronić te dzieci.

Więc unikałam spaceru na uroczysko; wolałam, gdy biegały żwawo po chrzęszczącym pod nogami śniegu, bawiłam się z niemi w śnieżki, starałam się i trzymać myśli ich na gruncie rzeczywistości, a nade wszystko w słonecznej pogodzie.

Moje metody wychowawcze, a raczej moja intuicja w tym kierunku uzyskała zupełną aprobatę ojca i babuni.

— Myślę czasem — mówiła starsza pani — że Bóg panią zesłał do nas, że pani zdrowa i pełna życia natura uratuje od zagłady te nasze niebożęta.

Pewnego razu spotkała nas dziwna przygoda. Wracaliśmy właśnie z dłuższej wycieczki brzegiem Szczary, wtem, na pagórku, z którego już doskonale widać było dwór, uirzeliśmy osiodłanego i puszczonego luzem konia. W tej chwili z zarośli, szumiących przedwiecznym wietrzykiem, porwał się rotmistrz Einhorn i z uśmiechem pozdrowił mnie wojskowym ukłonem. Było to tak niespodziewane, że nie umiałam ukryć zdumienia, przestachu i nawet pewnej odrazy, jak do gada.

Obserwuje nasz dwór! — pomyślałam.

On mi tę myśl odrazu wyczytał z twarzy.

— Jaka pani niedobra! — rzekł, śmiejąc się.

— Dlaczego?

— Pomyślała pani... No powiedzcie, co pani pomyślała w tej chwili?

— Co? właściwie nic. Stał pan tak nagle przede mną, że przestraszyłam się mimowoli.

— A nie! Pomyślała pani: ot żandarm na obserwacji!... a ja tu tylko dla was, Klementyno Pawłowno! za waszym śladem ja, jak błędny rycerz, się snuję...

Roześmiałam się głośno.

— Nie wierzy pani?

— Nie.

— A co pani myśli?

— Myślę, że pan łączy przyjemne z pożytecznym — rzekłam trochę złośliwie.

— Zapewniali mnie koledzy, że każda polka ma dla „moskala“ tylko impertynencję, choć w najgrzeczniejszej podanej formie, a teraz doświadczyłam na sobie...

I, spoglądając za dziećmi, dodał:

— Spłoszyłem ptaszki.

Dzieci od pierwszej zaraz chwili, gdy rotmistrz stanął przed nami, uskoczyły w bok i ścieżynkami, nad samą rzeką, biegły do dworu, by uprzedzić rodziców.

— Cóż to za dziwne dzieci! Boją się ludzi! Czy to matka je tak wychowuje?

Widziałam, że pragnie przeciągnąć rozmowę i naprowadzić ją na interesujące go tematy.

— Matka ich jest osobą chorą nerwowo i wcale nie zajmuje się ich wychowaniem.

— Doprawdy? Chora na nerwy? No tak, dawniej nazywano takie osoby czarownicami, a teraz choremi na nerwy. Czemże objawia się ta choroba?

— Melancholją, milczeniem.

— Czemuż jej nie leczą?

— Nie wiem, doprawdy. Na choroby nerwowe tak trudno znaleźć lekarstwo.

— No, a duchy wywołuje w dalszym ciągu?

— Nie. Nie było od tego czasu żadnego seansu.

— A jednak ten stary, wróg jej, skarży się wciąż, że ona mu spokoju nie daje.

— Złe sumienie spokoju mu nie daje — wyrwało mi się mimowoli.

— A czy pani wie, co to on zawinił?...

— Nie staram się wtajemniczać w te sprawy. Nie chcę być niedyskretną, ale wszyscy dokoła wskazują na niego, jako na wielkiego zbrodniarza.

— Ano, trzeba przyznać, że nie ma on tu dobrej opinii — roześmiał się Einhorn krótkim, złym śmiechem. — Bywajcie zdrowi Klementyno Pawłowno! ja bardzo rad ze spotkania z wami! Bardzo rad! (c. d. n.)

MAGDALENA SAMOZWANIEC

MARGRABINA DE BOIS DE BOULOGNE

(Grotteska w 3-ach aktach).

- ADZIK. O, to się zdarza i w najlepszych domach.
- MARJAN. (*dalej*). Wreszcie, pokazało się — no, zgadnij, nigdy byś nie uwierzył.
- ADZIK. Cicho, idzie...
- (*Wchodzi Francuzka, bardzo już elegancka, suknią jedwabną, pince-nez, pończochy jedwabne, ondulacja*).
- FR. Tu jest list do pana od Madame. Ja otworzyła, ot tak, przez ciekawość.
- MARJAN. No, no...
- ADZIK. Pani pozwoli. Mój przyjaciel Hupczycki. Państwo podobno znają się. Jeśli pozwolicie przejrzeć ten list. (*czyta*).
- FR. (*Patrzy przez pince-nez z niepokojem na Marjana*).
- ADZIK (*czytając*). Zawsze to samo. Ta kobieta nie chce zrozumieć... zawsze to samo...
- MARJAN. Mademoiselle Nanette mnie nie pamięta?
- FR. (*patrząc przez pince-nez*). Non, je ne vous connais pas. Nie znam. (*siedzi w pozie królowej na kanapie, nadrabia minę*).
- MARJAN. Zapomniała pani po polsku? A myśmy panią tak świetnie wyuczylili! Znamy się przecież od dziecka! To jest ja byłem wówczas dzieckiem. Ale pani się nic nie zmieniła. Nawet te same bajki pani opowiada co w Hupczycach.
- FR. Nie rozumiem Qu'est-ce qu'il me veut?
- ADZIK. (*stając między nimi*). Czy to prawda? (*poważnie*) czy to prawda, że to bajki? Niech pani powie, tak, czy nie?
- FR. (*spokojnie*). Nie.
- ADZIK. (*do Marjana*). Widzisz. Nie są bajki.
- MARJAN. (*śpiewa*). Szkoda. Ja bajki tak lubię ogromnie! (*siedzi, zapala papierosa*). Słuchaj Adamie. Przez życzliwość dla ciebie mówię ci: opamiętaj się człowieku.
- ADZIK. Wiesz, że nie przypuszczałem, że jesteś taki bolszewik. Dlatego tylko, że ktoś jest z arystokracji to go tępić. Ja jestem prawdziwym socjalistą: umiem uszanować człowieka nawet w księciu.
- MARJAN. (*machając ręką i zwraca się do Fran.*). Ten kochany, poczciwy chłopak pani wierzy. Niech go pani przestanie oszukiwać nareszcie. Czy pani nie wstyd? Kiedyś się i tak wszystko wyda. Ja mu sam powiem, co wiem o pani.
- FR. (*wzruszając ramionami*). Qu'est-ce qu'il me veut, ce drôle là? Fichez moi la paix par exemple!
- MARJAN. (*groźnie wstając*). Souvenez-vous de ce qui, było w Hupczycach?
- FR. (*z trwogą*). Oh, mais laissez moi vous. Mais en voilà assez! Sortez d'ici! Allez! Niech on już nic nie gada! O, moja głowa! Człowiek we własnym mieszkaniu nie jest u siebie! O jaki świat zły! Que les hommes sont bêtes! (*placze*).
- ADZIK. Widział Patrz: kobieta przez ciebie płacze!
- MARJAN. (*rozjuszony widokiem leż*). Niech pani zaprzestanie tych komedyi! Patrzeć nie mogę na tę papugę! (*chodzi wielkimi krokami*).
- FR. (*chwytając się za serce*). Je meurs. Nie mogę. Wody, niech on idzie. Oh, mon pauvre petit coeur!
- ADZIK. (*obrońca i bohater*). Dosty tego. Wynos się, jesteś brutal.
- MARJAN. (*spokojnie*). Idę, ale ci radzę: uważaj, nie wiesz z kim masz do czynienia.
- FR. (*wściekła*). Asser, asser, proszę iść!
- ADZIK. (*zatrzymując go w drzwiach*). Hm — tak mówisz... do widzenia, przepraszam cię. Komu teraz wierzyć... nie idź jeszcze... W głowie mi się kręci.
- MARJAN. (*z pasją*). Co ci się tam ma kręcić, kiedy ty tam nic nie masz!
- ADZIK. (*w rozpaczy prędko*). Słuchaj, ja nie rozumiem czemu ludzie kłamią. Ale poczekaj. Już teraz będę mniej łatwowierny. Będę uważał! Tak, tak, masz rację, to nawet były dosyć nieprawdopodobne historie, tak, tak, prawda jest tylko jedna...
- FR. (*idąc za nimi do drzwi*). Nie róbcie przeciągali o, moja głowa! Allez, fermez la portel!
- ADZIK. (*nie zważając na nią, mówi dalej*). Jak ja mogłem wierzyć... A ty wiesz, że jej bolszewicy zabrali wszystko w pościgu?
- FR. (*podслушуje*).
- MARJAN. (*zalamując ręce*). Zmiłuj się człowieku! Jacy bolszewicy! To jeszcze jedno nowe kłamstwo więcej. Słuchaj, opowiedz mi o niej ciekawe rzeczy, tylko przyjdź do mnie.
- FR. (*zaniepokojona*). Co on mówi? Proszę wolniej mówić, ja nie rozumiem! Proszę już iść!
- MARJAN. Uważaj, Adamie, bo nie wiesz, nie przypuszczasz, kto to jest (*wychodzi*).
- FR. (*Po wyjściu Marjana*). Oh, quelle brute, ten Marjan! Zawsze był taki.
- ADZIK. Co, co pani mówi, więc to prawda?
- FR. (*prędko*). Co prawda? Mówię, że każdy Marjan jest zawsze taki. Oh, jak ja się źle czuję. (*wyciąga się na kanapie jak chory „kociak”*). Po chwili zniechęta zrywa się i leci do lustra. Ogląda się z westchnieniem — mówi): Zaraz wiadać, że to sztuczne perły. Ja je może zamienię na prawdziwe... z małą dopłatą pański rachunek...
- ADZIK. (*przeżony*). Ale skąd! Śliczne są! Nikt nie pozna! Można dać jubilerom, a nie poznają! Można... rzucić świniom, a nie poznają — ja nie wiem co można! Wszystko można.
- FR. (*przeciąga się*). Co za nuda! Przebiorę się i my pójdziemy na kolację i do kina.
- ADZIK. (*smutno*). Wie pani — że ja może nie pójdę. Jestem zmęczony. Nie czuję się na siłach. Zresztą nie mam pieniędzy, oprócz mojej kolekcji pięciozłotówek. — Ani pieniędzy, ani humoru. Zawiodłem się w mojej wierze. Pani mnie okłamuje. To ładnie?
- FR. (*wzrusza ramionami i odwraca głowę obrażona*).
- ADZIK. (*szaro*). Przepraszę moją żonę, sprowadzę ją przez Antoniego, i zacznę nowe, dawne życie. Pani będzie łaskawa zwolnić mnie ze swego towarzystwa.
- FR. (*przekonywująco i słusnie*). Pan bardzo niemądry jest. Czy pan zna co to la vie, życie? Figa pan zna. Każdy kłamie. Życie to kłamać. Ja dla respektu ludzkiego musiała opowiadać blagi. Bo mnie mężczyźni tak kochali, że ja już nie wiedziałam co robić. Ten co tu był przed chwilą, on się też we mnie zakochał i on teraz taki zły! On panu bardzo zazdrości. A Antoni! To on tak na mnie oko robi, ja mu się tak podoba, że on by już mnie dawno pocałował, żeby nie że ja mówię o sobie: markiza! Ale pan mnie więcej kocha, niż oni wszyscy i ja panu wszystko powiem. Tylko się przebiorę.
- ADZIK. Dlaczego przebiorę?
- FR. (*tajemniczo*). Muszę. Pan zobaczy. (*wychodzi*).
- ADZIK. (*do Antoniego, który znowu kręci się czegoś szuka*). Ej Antoni, Antoni, taki stary, a takie głupstwa się go trzymają! Skarżyła mi się panna Naneta.
- ANTONI. (*niecierpliwie*) niby ten tłuć...
- ADZIK. (*odważnie*). Cicho! Mówiła mi, że Antoni się niestosownie zachowuje. — *[Patrzy... Biedne dziewczątko! Wszyscy na jednego. Antoni mógłby być jej ojcem... (c.d.n.)*

RUDYARD KIPLING

PODOBÓJ SIEDZIBY

11

(AN HABITATION ENFORCED)

— Zatem jutro rano jazda do Londynu i zobaczymy, czy nie uda się dodać tempa londyńskim prawnikom. Muszę się brać do roboty!

Pojechali, nakłopotali się i nakrzęcali bez miary, aż w pewien sobotni wieczór, dorożką, wypakowaną pudłami aktów i planów, zjechali jako prawni właściciele Pardonu z przyległościami.

— Całym sercem życzę i wierzę najmocniej, że pani będzie szczęśliwa — wyszeptła pani Cloke, gdy w blasku komina posłyszała wiadomość.

— Boże mój! toż to nie ślub! — wykrzyknęła Zosia nieco stropiona, bo w jej mniemaniu właśnie rozpoczynała się uciecha, nazwa w Ameryce oznaczająca pracę.

— Zależy, jak to brać. — Pani Cloke dyplomatycznie zwróciła wzrok w stronę komina.

— Poślij i każ naprawić jutro ten piec — szepnęła pani Zosia mężowi.

— Nie mogliśmy nie spostrzec — mówił powoli Cloke, — że cały czas i pana i panią tu ciągnęło, ale nie myślałem, że... — tu spojrzenie żony go zatrzymało.

— Że potrafimy się zdecydować, — kończył Jerzy. — My sami nie wiedzieliśmy o tem.

— Może, — zaczął Cloke, trąc kolana w zakłopotaniu, — ot mówię, aby gadać, — ...może państwo zapuszczają wszystko?

— Co to znaczy?

— Może państwo zaprowadzą ogród wszędzie, park tak jak w Violet Hill, — tu wskazał ręką na zachód, — który kupił pan Sangres. Były tam cztery folwarki, a pan Sangres wszystko obrócił na park i puścił stado jeleni.

— Ależ wtedy nie mielibyśmy już Friars Pardon, — wykrzyknęła Zosia.

— Od wieku wieków Friars Pardon to sama pszenica i wełna! Są panowie, co mówią, że mniej jest kłopotu z parkiem, niż z dzierżawcami, — za śmiał się nerwowo. — Ale wiadomo pan z panów prawdziwy trzyma się tego, co dawniej bywało.

— Rozumiem, — rzekła Zosia. — A jak pan Sangres doszedł do majątku?

— Napewno nie powiem. Zdaje się, że zrobił pieniądze na korzeniach i pieprzu... a może na rękawiczkach... nie, rękawiczki, to sir Reginald Liss z Marley End, a korzenie pan Sangres. To bardzo ciemno-skóry gentelman, pochodzi z Brazylii.

— Jednej rzeczy bądź pewien — mówiła do męża pani Cloke, układając się do snu — że nie będziesz miał żadnych, a żadnych kłopotów.

Nowiny o nabyciu Friars Pardon Clokowie dowiedzieli się w sobotę o godzinie ósmej wieczór. Nikt nie opuścił farmy aż do rana, gdy trzeba było iść na nabożeństwo.

Jednak, gdy Chapinowie weszli do kościoła z zamiarem wsunięcia się na swoje zwykłe miejsca koło chrzcielnicy, skąd co niedziela mogli obserwować czerwono oszyte sznury od dzwonów, kołyszące się w miarowym tańcu, zostali jaknajbardziej zdecydowanie wypchnięci naprzód. Małżonkowie Cloke znaleźli się po obu skrzydłach (a przecie dom opuścili oddzielnie) i rzucono ich w objęcia czarno odzianego kościelnego, który wiódł boczną nawą ku stalom

pod kazalnica, wprowadził ich w ławkę i zamknął w niej, szepcząc z wyrzutem: — Tu przecie jest kołatorska ławka Friars Pardon.

Mogli ze swoich miejsc dostrzec niewiele, część prezbyterjum i chłopców chórzystów, ale ztyłu czuli się bezlitośnie pożerani wzrokiem przez całe zgromadzenie.

„Gdy uszedł odemnie człowiek złości pełen“. Obco i cudzoziemsko, a mocno, aż pod strop brzmiał śpiew księdza.

Dziwne osamotnienie ugniało ich serca. Napróžno szukali sobie miejsca w oschłym anglikańskim kościele. Nawet Ojciec nasz inaczej tu odmawiano.

Pani Zofja spostrzegła się, że myśli o hałasie jakiego ich tranzakcja narobi za oceanem; jak dzieciątki pism będą ją komentować z różnych punktów widzenia, a zapomniała, że przecie w ciągu długich jeszcze miesięcy Jerzy miał zabronione brać do ręki te, czarno zadrukowane, krzykliwe płachty. Tu zato panował niezmacony spokój.

Grę rozpoczęli, odkrywając karty, inni gracze mieli karty zakryte i wyczekiwali. Wyczekiwanie wisiało w powietrzu i w istocie poprzez mgłę w oczach ujrzała przed sobą wmurowaną tablicę, na której wyryty beznogi ptak, w pióropuszu herbowym, a pod nim napis „Czekaj chwili — Czekaj chwili“.

W czasie litanji, Jerzy poprawiał chwiejący się podnóżek i w tym celu, zawinał róg dywanu pod ławkę. Pani Zosia też swoją stronę cofnęła i przymknęła oczy, które paliły jak od łez. Gdy je znów otwarła, dostrzegła panieńskie nazwisko swej matki, napis o zatartych literach, wykutych na błękitnawej tafli posadzki.

Ellen Lashmar ob. 1796 aetat. 27.“

Trąciła Jerzego i wskazała napis. Korzystając z osłony jaką klęczącym zapewniała stalla, rozglądali się za dalszą wskazówką, ale reszta płyty była niezapisana.

— Słyszałaś kiedy o niej? — wyszeptał.

— Nie wiedziałam, aby ktokolwiek z naszych stąd pochodził.

— Zbieg okoliczności?

— Być może, ale dla mnie dziwnie kojący.

Uśmiechnęła się, strącając łzę zawisłą na rzęsach. Ujęła dłoń męża i wspólnie modlili się „Za niewiasty w trudzie rodzenia“, a wróble, którym udało się minąć straż szyb okiennych, świerkały wesoło nad alabastrem i spłowiałymi złoconiami genealogicznego drzewa rodu Connant'ów.

Ławka baronetów była w prawej nawie. Po nabożeństwie modlący się w niej ruszyli naprzód, bez pośpiechu, ale tak, aby zabarykadować wyjście osobnikowi, który z liczną rodziną deptał im po piętach.

— Pieprz i korzenie, — szepnęła pani Zosia do głębi uszczęśliwiona, gdy Sangresowie pośpieszali, aby nie zostać o krok wtyle za Connant'ami.

— Jerzy, rusz ich, niech idą naprzód.

Gdy Chapinowie wyszli z kościoła, sto par czoło wpatrzyło się w nich, bo tłum ociągał się z wyjściem.

— Chciałabym zobaczyć, czy jest tu jeszcze pochowany kto z Lashmarów.

(c. d. n.)

Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

8



rozumiała, że te zjawiska niezwykle wyosobniają ją od reszty ludzi, odsuwają od przeciętności życia -- że Bóg wymaga od niej widocznie czegoś więcej, niż od ogółu wyznawców. To też nie śmiała mówić nikomu o swej „radzie niebieskiej” — ani rodzicom, ani nawet księdzu na spowiedzi. Tajem-

nie też uczyniła ślub, że dziewiczości swej dochowa. Jakby czuła, że życie rodzinne nie godzi się zwykle u kobiety z wielkim jakimś powołaniem.

A jednak wstrząsnęła nią ogromnie wieść, wypowiedziana wreszcie ustami Archaniola: że Bóg ją przeznaczają do ocalenia Francji przez wojenne czyny¹⁾.

— Jam — ci biedne dziewczę ino — odrzekła z płaczem, drżąc cała — nie poradzę ani koniem toczyć, ani wojować...

— Córkó Boga, wielkiego serca dziewczę! idź, tak trza! Bóg cię powiedzie.

Słowa te rzucają w duszę Joanny zarzewie walki wewnętrznej, która nie ustaje już, aż do chwili wykonania straszliwego rozkazu. Dziewczyna czuje, że jest to wyrok na jej całe życie osobiste, na wszystkie niewinne radości i przywiązania — na spokój sumienia nawet — bo jakże jej, prostaczek młodce, porywać się na dzieło, któremu nikt dotąd nie sprostał?..

Ale Bóg tak chce, Bóg ją rozwiąże z obowiązków wobec rodziców, Bóg da rozum i siły! Ta ślepa wiara ściiera się w niej ustawicznie z poczuciem własnej słabości.

Srodkom ludzkim nie ufała widocznie, bo nie szukała podpory w wiedzy, ani radzie niczyjej. Choć umiejętność czytania i pisania nie była już wtedy, nawet na wsi, bardzo rzadką, choć szkółka jakaś istniała w pobliżu, Joanna nie próbuje nawet dostać się do niej. Zagłębia coraz więcej w modlitwie, podwaja tylko swe praktyki pobożne, powierzając się całkowicie swemu nadziemskiemu kierownictwu. Jest już zdecydowana wypełnić boże rozkazy — lecz skupia siły i czeka jeszcze na znak ostateczny.

Mimo głębokiego milczenia, coś jednak z wnętrznego jej życia musiało promieniować na zewnątrz skoro Jakób d'Arc śnił pewnej nocy, że córka poszła na wojnę i widział ją między żołnierzem. Prostoduszny wieśniak słyszał wiele o nierządnicach, włóczących się za wojskiem; ów sen nie mógł mu nasunąć innej myśli, jak tylko, że jego dziecko gotowo zostać jedną z tych istot pogardzanych. Przerażony taką wróżbą zapowiedział ostro synom, aby raczej utopili siostrę, niżby do tego przyjść miało. Lecz nawet ta groźba ojcowska nie ustraszyła dziewczęcia.

Krażyły wtedy po całym kraju, z różnych źródeł płynące, a dziwnie zbieżne przepowiednie — niektóre bardzo stare — że królestwo Francji, zgubione prawie przez kobietę²⁾, zbawione zostanie przez dziewczę, od Boga zesłaną. Niektórzy dodawali nawet, że ma ona przyjść od marchji lotaryńskiej...

Faktem jest, choć niewyjaśnionym dotąd naukowo, że dusze narodów mają czasem tajemny dar takich przeczuć, jakie nawiedzają niektóre jednostki, obdarzone szczególną intuicją. Każdy z nas mógł już za swego życia obserwować sprawdzanie się takich ludowych „gadek”, niewiadomo z czego powstałych, napozór absurdalnych. Cóż więc w tem nieprawdopo-

dobnego, że zbiorowa intuicja Francji przeczuła rycerską dziewczynę, co miała ją ocalić?...

Wieści te, dochodząc do uszu Joanny, utwierdzić ją musiały w powziętem postanowieniu. Wzywał ją nie tylko głos Boga, ale i głos ludu, „marzenie wieków.... idea poetyczna, ciągnąca się przez całe wieki średnie, przechodząca z legendy do legendy, aż nareszcie stała się osobą³⁾.

* * *

Akcja wojenna Anglików ożywiła się znowu.

W 1428 r. zdobyli się na nową armję dla dokończenia podboju. Główne siły postanowiono rzucić na Orlean, jako klucz do całej południowej Francji; położony na zgięciu rzeki Loary panował on nad jej korytem. Gdyby udało się najeźdźcom zdobyć to warowne miasto, to mieliby wolną drogę do księstw Poitou, Berry, Bourbon — nawet Lotaryngja, Bar i Anjou musiałyby odstąpić sprawę Karola VII.

Mieszczanie Orleanu zdawali się to rozumieć, bo jednogłośnie i szczerze postanowili bronić się do upadłego. Wieść o ich strachu i przygotowaniach do obrony musiała dotrzeć do Domrémy — i ona to zapewne skłoniła Joannę do pierwszej próby wystąpienia.

Przewidując opór rodziców, z wiosną 1428 r. udała się, niby w odwiedziny, do starszego krewniaka, Durand'a Lassois, zamieszkałego, wraz z żoną, bliżej Vancouleurs. Był to pierwszy człowiek, któremu zwierzyła, ogólnikowo, swoją misję i widać go zjednała, skoro nie wzdragał się zaprowadzić do srogiego, gburowatego kapi ana młodzieńką chłopkę w czerwonej, łatanej sukieneczynie...

Stała przed nim śmiało, prosząc, aby ją wysłał, ze zbrojnymi, na dwór królewski, albo przynajmniej przez posłów słowa jej przekazał.

— Przybywam od Pana mego z posłaniem do królewicza, aby serca nie t acił, a nie stawał ninie do rozprawy ze swojemi nieprzyjaciół. Albowiem w czas półpościa Pan ześle mu pomoc.

— Coże to za pan twój? zapytał rycerz drwiąco.

— Król niebieski!

Baudricourt, uważając widocznie, że dziewczyna ma niedobrze w głowie, nie chciał nawet słuchać dalej i rubasznie zapowiedział wujowi Lassois, aby dał jej dobre baty i odesłał co rychlej do rodziców.

Po tygodniu nieobecności wróciła Joanna do domu, do zwykłych swych zajęć, nie zniechęcona niepowodzeniem, ani wzdrgną rycerza. Powtarzała sobie, że widać czas jeszcze nie nadszedł, lecz jakże ciężkie musiały być dla niej te właśnie miesiące!

Wojna przybliżała się, zagładając w oczy ogniem i krwią — Anglicy bowiem wyprawili się w lecie na zdobycie Vancouleurs. Przerażeni wieśniacy, zabierając swój dobytek, uchodzili w spokojniejsze strony. Joanna poszła z rodzicami do miasteczka Neufchâteau, choć dusza jej się rwała naprzeciw wroga.

¹⁾ Słowa Joanny i jej współczesnych, czerpane za pośrednictwem biografów z aktów obu procesów, przekładam na polszczyznę 17 w, popełniając zupełnie świadomie ten anachronizm.

²⁾ Królowę Izabellę.

³⁾ Michelet, Histoire de France.

Wróciwszy po 2 tygodniach, zastali domy swe poniszczone i zrabowane doszczętnie, kościół spalony...

Wśród tych gwałtownych wzruszeń, w niecierpliwości czekania, wymyka się czasem Joannie jakieś słowo zbyt szczerze. Jeden z jej rówieśników wspominał później, że mu rzekła w tym czasie:

„Wpodye Coussey, a Vancouleurs żywie dziewczka, co królewicza powiedzie na święte namaszczenie do fary w Reims — zaczem rok jeden wyjdzie..“

A od zagrożonego Orleanu leciały na wsze strony trwożne wieści, jak stada ptaków spłoszonych. Mieszczanie przez całe lato naprawiali gorączkowo swe wielkie mury obronne, najeżone 34-ema basztami, — umacniali warowny zameczek „Tourelles“, łączący się z olbrzymim mostem na Loarze. Starano się o amunicję i działa: zdecydowano się nawet na wpuszczenie garnizonu, śląc gońców o pomoc do króla i wszystkich miast pobliskich. Mieszkańcy ludnych i bogatych przedmieść, chroniąc się poza mury, zburzyli sami swe domy, by nie dawać oparcia nieprzyjacielowi — poświęcili nawet dwa wspaniałe kościoły!

W początkach września przybyła armja obłężnicza, a na jej czele ks. Salisbury, zdobywca 40-u miast i zamków — siejąc przed sobą magiczną grozę złowrogiego angielskiego imienia. Nawet śmierć jego, w pierwszej wymianie strzałów, nie podniosła ducha w obrońcach; oddali bez walki fort „Tourelles“, uważany za niezdojbyty. Siły oblegających i obleganych były prawie równe, dostawy dla wojsk angielskich bardzo utrudnione, wstęp do Orleanu dla posiłków i żywności wolny jeszcze, dobra jego artylerja liczyła

70 dział — a jednak przesądni mieszczanie i załoga zgóry już przewidywali swą klęskę. Urządzali procesje z relikwjami świętych — lecz nie umieli nawet wyzyskać popłochu, jaki wśród nieprzyjaciół wywołała śmierć wodza.

Nadchodziły różne posiłki. Dowództwo objął pełnomocnik króla, młody Jan, Bastard ⁴⁾ Orleański, syn ks. Ludwika, wychowany wraz z prawymi jego dziećmi, jako mściciel ojca. Był to może najzdolniejszy i najdzielniejszy z ówczesnych książąt francuskich — a jednak i na nim ciążyła sugestia niemocy i on nie umiał wlać energii i wiary w szeregi obrońców.

Przez całą zimę trwającą walki — szturm i wyściczki; pierścień fortów angielskich dokoła miasta ścieśnia się, lecz wojsko ich topnieje potrochu w tych trudnych warunkach i Francuzi zaczynają przeważać liczebnie. Mimo to nikt nie wierzy w ocalenie Orleanu — a już najmniej król Karol VII, któremu doradcy zaczynają podszeptować, aby zrzekł się dalszej walki i uchodził zagranicę...

W owym to właśnie czasie rozstrzygała się sprawa jego i Francji, nie na dworze, nie w żadnym obozie, jeno w malej, kresowej wiosce, w sercu młodziutkiej dziewczyny wieśniaczki. „Głosy“ poczynają naglić Joannę, precyzując coraz bardziej swe rozkazy:

— Córo Boga — idź, idź, idź! W twojej to jeno mocy zbawić Orlean, precz wygnać Angielczyków i koronę darować królowi. (c. d. n.)

⁴⁾ W owych czasach roilo się wszędzie od bastardów — nielegalne dzieci, nie tylko książąt, lecz i biskupów, chępiły się swem pochodzeniem.

SPRAWOZDANIE Z KONGRESU MIĘDZYNARODOWEJ UNJI STOWARZYSZEŃ KATOLICKICH W RZYMIE 1925 R.

Kongres rozpoczął się 22 listopada, tegoż dnia rano wszystkie delegatki przedstawiły się Przewodniczącej p. Steenberghe — Engeringh, Holenderce, oraz zamieniły swoje listy uwierzytelniające na karty wstępu.

Popoł. o godz. 5-tej odbyło się przyjęcie u Markizy Patrizzi na via Scrofa, w b. pięknym pałacu, gdzie ogromne sale przepelnione są dziełami sztuki, których pozadrościoby mogło niejedno muzeum europejskie. Margrabina jest jedną z najpoważniejszych i najb. czynnych działaczek i przewodniczącą ligi włoskiej. Na przyjęciu było sześciu kardynałów, Gasparri, Merry del Val, kard. Luçon z Reims, który, widząc Polki, polecił podziękować tym, którzy mu z Polski przesłali wyrazy współczucia po zniszczeniu katedry. 250 delegatek reprezentowało około 50 związków, a 40 milj. zrzeszonych kobiet, przedstawicielki ligi włoskiej, czeskiej, portugalskiej, hiszpańskiej, polskiej (sześć), angielskiej, amerykańskiej - północnej i połudn. Ameryki.

Nazajutrz rano o 9-tej zebrały się na narady. W przemówieniu inauguracyjnym kard. Merry del Val zaznaczył, że kongres ma się zająć w pierwszym rzędzie niebezpieczeństwami, które grożą rodzinie, a przez to i całemu społeczeństwu. Przewodnicząca nawołuje do realizacji projektów i zamieniania ich w czyn, prosi o cierpliwość i sumienną, a żmudną pracę, najpierw w załatwieniu stron formalnych, następnie w wypełnianiu programu, kt. ma zająć się:

1) Rozszerzeniem i propagandą wiary, 2) ochroną obyczaj przed niemoralnością, 3) ochroną pracy kobiet i dzieci, 4) obowiązkami kobiet w pracy obywatelskiej, państwowej.

Komisja obradująca nad kwestją obrony i propagandy wiary przedstawiła zjazdowi szereg ciekawych i ważnych wniosków, poczem nastąpił referat p. de Montenach p. t. Obyczaje i moralność. Zapadły ciekawe decyzje, dotyczące zwalczania pornografji i bezmyślnej, szerzącej zepsucie mody. Zjazd uważa, że pożądanem jest, sby utworzył się międzynarodowy związek, popierający wytwórnę filmów wysoko stojących pod względem moralnym, historycznym i artystycznym, żądający obostrzenia cenzury i zakazu importu filmów z krajów, nie należących do Zw.

Należy stworzyć w każdym kraju stowarzyszenie obrony moralności, czuwające nad prasą, literaturą, teatrami, kinami, studjami i radjami etc. — prowadzić wykaz zarówno dobrych, jak i niemoralnych sztuk — przesyłać do Centrali, kt. to będzie ogłaszać.

Dalej — rezolucja sekcji zwalcza niewłaściwą modę. Kobiety, należące do klasy zamożniejszej, powinny mieć odwagę swoich przekonań i ubierać się, stosując modę do zasad moralności chrześcijańskiej. Matki są odpowiedzialne za zachowanie poczucia wstydu w młodzieży od lat najmłodszych.

Zamiast miss Fletcher, kt. nie mogła przyjechać odczytała jej referat miss Balfe (6-ta komisja). Na wstępie zaznaczyła, że 20 wieków temu Chrystus

nauczał, że jest jedna moralność dla wszystkich, tymczasem my żądamy czystości od dziewcząt, zamykając oczy na występki chłopców. Jest to hi pokryzja, rozbijająca rodzinę i tolerująca zło. W każdym kraju kobiety powinny to zwalczać, starać się o zatwierdzenie ustaw, zwiększających kary za zaczepianie na ulicy, wciąganie do nierządu, ustawy przeciw alkoholizm, przeciw handlowi żywym towarem.

Mis: Wideck w swoim obszernym referacie zachęca do tworzenia Towarzystw, opiekujących się emigrantkami i skierowywania ich do odpowiednich organizacyj zagranicznych, obiecuje dawać wszelką pomoc w Ameryce (Stany Zjedn.) i prosi o sygnalizowanie wszystkich wyjeżdżających, zachęca delegatki do podania sobie rąk przez ocean, aby nieść pomoc.

W komisji 6-ej p. Sharenberg (Austria) dała szczegółowo opracowany referat w kwestji ochrony pracy kobiet na polu moralnym, społecznym, prawnym.

P. Baers (Belgia) zobrazowała położenie kobiet w związkach zawodowych—robotniczych.

Zaś p. Chenu (Francja) podniosła sprawę roz-

woju i ochrony pracy umysłowej kobiet inteligentnych.

P. Weber, Niemka, wybitna jednostka na polu politycznym, członek parlamentu, scharakteryzowała obowiązki i prawa kobiety jako obywatelki w życiu publicznym.

Po wyczerpaniu porządku dziennego nastąpiło zamknięcie Zjazdu. Przemówienie przewodn., która dziękuje za zgodną, mimo różnic zdań i harmonijną pracę delegatek i obiecuje w dalszym ciągu, skoro została wybrana ponownie na okres 2 letni, nie naruszając właściwości i poszczególnych interesów każdego narodu, dbać jedynie o dobro wszystkich w równej mierze. Po odbytych wyborach do biura prezydjalnego centr. delegatki udały się do Ojca św., który zbliżał się do każdej grupy narodowościowej osobno, a następnie przemawiał długo do wszystkich, mówiąc, że poza temi, które są obecne, ma jak gdyby wizję tych tysięcy, które one przedstawiają. Delegatki opuścili Watykan pod podniosłym wrażeniem. Było to jakby zebranie Ligi Narodów, której celem objąć czystą miłością ludzkość całą i nieść pomoc materialną, moralną i intelektualną w miarę wszystkich sił dla zdobycia jaśniejszej i lepszej przyszłości.

Z. Ośnińska.

OBOK ŻYCIA — NIE PRZEZ ŻYCIE

Bywają ludzie połowiczni, niedociągnięci. Wnoszą z sobą talenty, rozbudzone umysły, żywe wyczuwanie prawd bliższych, tęsknotę za zrozumieniem dalszych. Chcieliby dać coś z siebie i stać się cze mś. Nie dają nic prawie. Z temi swojemi talentami, z bujnym umysłem i ambicją tłuką się między ludźmi, jak błędne duchy, którym jest źle. Wiecznie szukają, wiecznie gonią mary pragnień. Pędzą z wyciągniętymi rękami i w ciżbie ludzkiej natrafiają na próżnię. Więc, jak umarli, wloką się przez świat. Niby nic im nie jest, a cierpią. Mówimy o nich „pół-talent”, „pół-genjusze”, „wykolejeńcy”, z orbit swoich wytrąceni pielgrzymi—wędrowcy, którzy idą obok życia, nie wyzyskując żadnego z darów swoich. Lunatycy, którzy śnią sen-zmore. Kto ich nie zna? Kto nie ma w najbliższem otoczeniu swoim takich zrozpaczeńców?...

Co pada z rąk ich, jest jak ziarno nieodgadnione, kielkujące mimo nich. Oni sami tylko w dotykach bólu czują, że są.

Powieść o takich ludziach napisała p. Duhamel (*). Nie bije z niej dech szeroki, ani głębia przemyślań, ani wczucie się w tętno ciekawej epoki, między 1812 a 1840 r., na tle której rozgrywa się akcja. Autorka nie ogarnęła całokształtu burz, które przeszły nad Francją rewolucyjną i trwały w głuchym pomruku. Ślizga się po zewnętrznej powierzchni wydarzeń. Przechodzi mimo wielkich postaci z doby napoleońskiej i ponapoleońskiej. Gdy z życiem bohaterów jej związany jest człowiek tak niepospolity, jak Lamennais, zbywa go półsłówkami, że czytelnik, mało obeznany z historją tych czasów, nie dowiedziałby się, kim był ten apostoł katolicyzmu rewolucyjnego, przyjmowany na łono kościoła i wyklinany przez papieża, rojalista i opozycjonista, odzyskujący kapelusze kardynalski, ofiarowywany mu w chwilach łaski, autor książki, która rozeszła się

w 100 wydaniach („Paroles d'un croyant”) i była tłumaczona na wszystkie języki europejskie. Duch niespokojny, który gromadził dokoła siebie zastępy wyznawców swoich, m. in. czas jakiś Mickiewicza.

Opowiadanie p. Duhamel jest właściwie bardzo szczegółową kroniką dziejów podupadłej arystokratycznej rodziny rojalistów, czczących pamięć Burbonów i osiadłych w tym zakątku południowej Francji, gdzie jeszcze w XIX w. odprawiano nabożeństwa za Ludwika XVI. Bohaterka tytułowa, Eugenia de Guérin, minęła się ze wszystkimi powołaniami swemi. Poetka,—za mało miała woli, żeby dążyć do pełnego rozwoju talentu własnego. Zresztą, jeden spowiednik pozwalał jej pisać wiersze, inny zabraniał. Technienie poetyckie więc szarpało się w niej, jak błędny ogień na wietrze. Głęboko religijna, całe życie marzyła o klasztorze, lecz nie wstąpiła do niego, gdyż zbrakło jej woli, żeby zerwać ze światem rodziny i najbliższych przyjaciół, a zwłaszcza odejść od najmłodszego brata, Maurycego. Po śmierci matki powiedziała sobie, że musi go wychować. Miała wtedy lat 13 i z całym żarem gorącego serca podjęła opiekę nad wątłym bardzo, a niepospolitem z ducha dzieckiem. Wydiera jej go z czasem liceum, wydziera Paryż, wydzierają obcy ludzie, obce wpływy. Ztraca tę duszę tkliwą, miękką, pobożną, która gubi wiarę. Uczeń i wyznawca Lamennais'go, szkolny towarzysz i przyjaciel Barbey d'Aurévilly, który wciągnął go w wielkoświatowe odmęty paryskie, — Maurycy dopiero po powrocie do domu, jako suchotnik, odzyskuje dawną religijność. Umiera na rękach siostry — wychowawczyni, która uczy go modlić się na nowo i pragnąć ostatniego namaszczenia przed śmiercią.

Maurycy był poetą — nawet bardziej utalentowanym od siostry. Ale słaba wola, słaby dech w piersi stawały między twórczością jego, a zreali-

zowaniem jej w życiu. Pisał piękne rzeczy, lecz każde drobne niepowodzenie mroziło poryw twórczy. Dobić się sławy w Paryżu — na to trzeba było pieniędzy, olbrzymich stosunków, lub twardej, nieugiętej woli. Nawet pisarz tej miary, co Barbey d'Aureville po śmierci zaledwie, a właściwie w naszych czasach dopiero zdobył należne uznanie i rozgłos. Nikt nie podtrzymywał, nikt nie dźwigał omdlewającego w tęsknocie i marzeniach młodego Guérina. Zostały po nim stosy rękopisów. Postanowiła je wydać Eugenia. I to był ostatni cel jej życia.

To zdawało jej się obowiązującą koniecznością względem Maurycego. Przy pomocy Barbey'a rzuciła w świat „Centurjona” i „Bachantkę”, które zdobyły pośmiertną sławę pocie. Ale na tem skończyły się jej zabiegi. Barbey wpadł w wir szalonego wielkomięjskiego życia i na listy jej, zaklęcia, wezwania nie odpowiadał wcale. W głuchym zakątku wiejskim — rodowej siedzibie Guérinów — trudno było nawiązać nici z Paryżem i jego wydawcami. Tak więc nawet i ten cel ostatni chybił. Eugenia spaliła rękopisy brata, które jeszcze były w jej posiadaniu. Spaliła również i swoje. Zostały jednak u przyjaciół i rodziny listy, urywki wspomnień i pamiętników, które zaczęto wydawać w kilka i kilkanaście lat po jej śmierci.

Guérin'ami zajęło się usilnie piśmiennictwo francuskie doby ostatniej. Coraz częściej wychodzą w miesięcznikach i książkach prace, poświęcone Maurycemu i Eugenji. Napisał o nich między innymi studjum w 1921 r. Żyromski — francuz o polskim nazwisku, czy polak, piszący po francusku. To wskrzeszenie pamięci zmarłych wywołane zostało niewątpliwie zwrotem współczesnych ku niedocenionej za życia twórczości Barbey'a d'Aurévilly, paradoksalnego mistyka o wyrafinowanej, bardzo wyszukanej formie, która dziś dopiero zaczęła być poczytną. Lata młodzieńcze autora „Dandyzmu” związane były ściśle z rodziną Guérinów. W studjach o nim i w opracowywanych zyciorysach jego niepodobna było nie zwrócić uwagi na związek duchowy między nim a Maurycem i Eugenją. Zerwało się to wprawdzie w sposób przykry, brutalny, jednak w korespondencji, w kartkach ulotnych, w pamiętnikach zaryły się ślady tak wyraźne i głębokie, że musiano je uwzględnić.

Zaakcentowała przyjaźń tych trojga p. Duhamel. nie wyzyskawszy zresztą podłoża tych wpływów wzajemnych i tego oddziaływania, jakie wywierali na siebie ludzie o tak wręcz sprzecznych usposobieniach, drogowskazach i charakterach.

Książka pani Duhamel jest drugim z kolei wydawnictwem t. zw. „eszytów kobiecych” (Cahiers féminins), zapoczątkowanych przez komitet, w skład którego wchodzi między innymi paru członków Biblioteki Narodowej. Zaliczyć ją trzeba do tych prac, pełnych żaru religijnego, które rozchodzą się we Francji powojennej w olbrzymiej ilości. Pisana modnym dziś sposobem kronikarskim, opiera się na bezpośredniości wydarzeń, ale nie na bezpośredniości przeżyć duchowych. Niema w niej klucza do zakłętego labiryntu wnętrza ludzkich. Przechodzimy mimo nich, jak Eugenia i Maurycy przeszli mimo najistotniejszej treści życia, zawieszeni nad progiem czy u progu jego, niedociągnięci, nieprzystosowani i przez to bardzo nieszczęśliwi. C. Walowska.

*) Les Cahiers féminins. Geneviève Duhamel, „La vie et la mort d'Eugénie de Guérin”. Librairie. Blond et Gay. 3, rue Garanciere Paris.

PRZEGLĄD RUCHU PLASTYCZNEGO W WARSZAWIE

(dokończenie)

II

SALONY ARTYSTYCZNE: GARLIŃSKIEGO I POLSKIEGO ZWIĄZKU ZAWODOWEGO ARTYSTÓW PLASTYKÓW. WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

„Nowa” sztuka urządza swe pokazy stale w salonie Garlińskiego i w salonie artystycznym przy ul. Marszałkowskiej.

Sklep artystyczny Garlińskiego może się poszczycić długim szeregiem ciekawych wystaw, o których parokrotnie pisałam w „Bluszczu”. Działalność jego w bieżącym sezonie to: wystawa zbiorowa Konrada Winklera, I-sza wystawa Stowarzyszenia artystów grafików „Ryt” i wystawa prac malarskich Henryka Grombeckiego.

Winkler, autor książki o nowych kierunkach w malarstwie, jest artystą formy zwartej i zwięzłej. Jego „krajobrazy” stoją w dalekim pokrewieństwie z naturą rzeczywistą; bierze on z niej jakieś zasadnicze pierwiastki, które upraszcza i tem samem uwy-pukla, komponując małe całości o dużych wartościach dekoracyjnych i syntetycznych. Krajobrazy te posiadają niekiedy idealnie zamkniętą formę. W sztuce Winklera jest duża świadomość i logika.

Wystawa „Rytu”, obok wystawy L. Ślodzińskiego, stanowi najbardziej znamieny moment w ruchu plastycznym ubiegłego półrocza.

Założycielami „Rytu” są: Bartłomiejczyk, Borowski, Cieślowski jun., Gardowski, Kamiński, Konarska, Krasnodębska, Podoski, Rzecki, Skoczylas i Wąsowicz. Na wystawie ich — obok artystów o ustalonej sławie — nowe nazwiska: Kulisiewicz, Krasnodębska, Konarska.

Zaczną od tych ostatnich. Obie ukończyły klasę Skoczylasa w Akademji Warszawskiej.

P. Janina Konarska — dobrowolnie skłania się ku archaizacji, nietylko przez wybór tematu (B'blja), lecz i przez skracanie postaci, a wydłużanie twarzy, przez sposób układania fałdów i rozmieszczania grup. Pod względem barwy drzeworyty jej przypominają Hokousaya.

Większe rozmiłowanie w kolorowości wykazują drzeworyty Bogny Krasnodębskiej. Kompozycje jej wnoszą dużo ruchu, niektóre zdradzają zacięcie humorystyczne, są wesołe i krotochwilne, nawet świetna, w barwach szaro-biało-czarnych utrzymana „Powódź”. Krasnodębska podchwytuje komizm i groteskowość ich objawia w ruchu, doskonale zaobserwowanym.

P. Konarska jest obojętna na krajobraz. Grupuje ludzi, używając drzew, gór — uproszczonych — jako dekoracji. P. Krasnodębska daje życie krajobrazu, przez przeniesienie go na drzewo (ryt), odbierając mu realność i czyniąc z niego coś z bajki, lub legendy (Jesień, Wiosna). Barwy kojarzą się u tej artystki w miłe zespoły. Wartość jej linii poznajemy w drzeworytach biało-czarnych, ilustrujących Apokalipsę. Występuje w nich umiejętność bogatego wypełniania płaszczyzny. Układ figur posiada rytm — i dzięki temu gęste nagromadzenie ich nie razi. Utwory czarno-białe Krasnodębskiej mają ponadto bardzo dużo koloru. — Te wartości przedewszystkiem uderzają patrzącego, za im wejrzemy w treść anegdotyczną samych plansz.

Obie panie wchodzą do naszej sztuki mocno i pewnie; pierwszą tą wystawą nietylko zapowiadają

ale dają już wiele. Tad. Kulisiewicz silnie kontrastuje białe i czarne; duchem drzeworyty jego spokrewnione są ze średniowieczem. Jest czystym grafikiem o mocnej i wyrazistej linii.

Zresztą wogóle przewaga techniki drzeworytniczej u członków „Rytu“ dowodzi o ich świadomie staroświeckich zamierzeniach — obok czerpania zasobów z techniki i sposobu widzenia sztuki ludowej.

Skoczyłaś dał na tę wystawę kilka dzieł pod tym względem bardzo charakterystycznych.

Bartłomiejczyk uwzględniła najmocniej z grupy wartości dekoracyjne barwy i kształtu (stąd ornamenty i tła roślinne).

Wąsowicz — najbardziej malarski z pośród „Rytowców“, operuje w drzeworytach piękną plamą barwną. Borowski w litografjach miękkich świetny plastyk, nieźrównanie modelujący światłocieniem, bryłę — malarz, przedewszystkiem malarz.

— Wystawa Henryka Grombeckiego wprowadziła zwiedzających ją w pewne zakłopotanie: realista, zdawałoby się rzetelny i skrupulatny, znany ze swych portretów wykonanych techniką drobiazgową, osiągnięciem wyrazu przez arytmetyczne niejako dodawanie szczegółów, — obecnie swoją inszność i odmienność od dawnego siebie samego i od „szkoły“ wydobył i ukazał w kilku obrazach i w szeregu studjów i szkiców.

To samo, a jednak nowe. Poprzez uczciwość, rzemiosła przebił się polot, swoboda widzenia i wybierania piękna z otaczającego świata. Stąd wartości kompozycyjne jego dzieł, portretów, a zwłaszcza tym razem krajobrazów. Stąd szersze i odrazu wierne pociągnięcie pędzlem.

Sztuka Grombeckiego jest wolna od wszelkiej manjery, jest prawa, bez efektów i blagi. Bez sentymentalizmu. Epitet „miła“ nie przylegałby do tych prac silnych i zasadniczo własnych. Artystyczne zdecydowanie wyraża się w niesłuchaniu czystych, świeżych barwach. Obrazy Grombeckiego wyglądają z tego powodu odświeżenie, niedzielnie.

Dwie małe salki w zakładzie fotograficznym pani Lewickiej stały się siedzibą Polskiego Związku zawodowego artystów plastyków, który poza urządzaniem wystaw zbiorowych rozpoczął tam sprzedaż ratową obrazów członków Związku.

Z szeregu wystaw, które się tam przesunęły w ciągu ostatniego półroczka, najbardziej zastanawiającą była wystawa Ludomira Ślodzińskiego, znanego już z niejednokrotnych pokazów, profesora Wileńskiego.

Ślodziński jest jednym z najwybitniejszych i najoryginalniejszych artystów polskich czasów obecnych.

Jego zdecydowany odskok od impresjonistycznego rozkładania światła — do barw statycznych, lokalnych — jego sztuka zrównoważona, harmonijna, spokojna przyniosła mu epitet klasycyzm. Jest to klasycyzm formy i tylko formy; bowiem ludzie, których daje w portretach, zachowują całą swą indywidualność i współczesność: twarzy, oczu, wyrazu — nawet stroju. Są tylko interpretowani w rytmie, jedności i układzie, przypominających logiczne konstrukcje klasyczne. — Sztuka Ślodzińskiego jest zimna i bardzo intelektualna, w rysunku i precyzji modelowania mająca wiele z Holbeina i starych mistrzów włoskich. Syntetyczność tej sztuki jest południowa — niema tu nic z dawnej drobiazgowości Grombeckiego i starych flamandów. Abstrahując się od zmienności chwili, Ślodziński daje trwanie, wypoczynek na formie.

P. Bobińska — Paszkowska, wystawiająca swe prace w tymże salonie w lutym bież. roku, dąży do umiaru, spokoju i prostoty lekko tonowanych miłych barw. Posiada wytworność i smak. U dobrej tej artystki, rysującej doskonale, modelującej bez zarzutu, rozmieszczającej umiejętnie postacie i akcesoria, odczuwamy stałe poszukiwanie stylowości, wynikające może ze zbyt dużego poddania się wspomnieniom sztuki Botticellego („Zabawa Góralska“), Rafaela (Madonny), Ghirlandaja. Są to dalekie wprawdzie echa, lecz one to może powodują pewną manjerę w sposobie upozowywania rąk, głowy, w spojrzeniu portretowanych przez nią kobiet, wyglądających na kasztelanki, księżniczki, lub przestylizowane panny.

Bobińska styl narzuca — chce, aby był — i dlatego ludzie jej posiadają za mało indywidualności.

Ilustracją słów moich o Zachęcie jest choćby ostatnia wystawa. Tłumy niedzielnej publiczności głośno wyrażają dla niej swój zachwyt.

W trzech dużych salach — Stykowie: można przyznać pewne wartości malowanym lekko i dość wytwornie portretom kobiecym Tadeusza Styki — aczkolwiek razi w nich bardzo sztuczność upozowania i poszukiwanie oryginalności à tout prix. Adam Styka daje dobrze wystudjowane typy z Maroku i Algieru, — lecz nawet pietyzm dla zmarłych nie usprawiedliwia urządzenia wielkiego eksponatu płócien Jana Styki, z których większość może pouczyć chyba, jak malować nie należy.

Dzieła zmarłego Ignacego Marka znalazły się natomiast w najgorszej salce. Artysta ten nie jest u nas znany. W jego szkicach portretowych odczuwamy mocną artystyczną wolę — odczuwamy skupioną twórczą indywidualność. Przychodzą na myśl Krzyżanowski, Wojtkiewicz. Jest to ktoś, zasługujący na poznanie.

Na zakończenie tego przeglądu muszę wspomnieć o śmierci Eugenjusza Zaka, którego piękne, — subtelne obrazy znane były i oceniane więcej może we Francji, niż u nas. — Zmarła również młoda malarka Michalina Rozbicka.

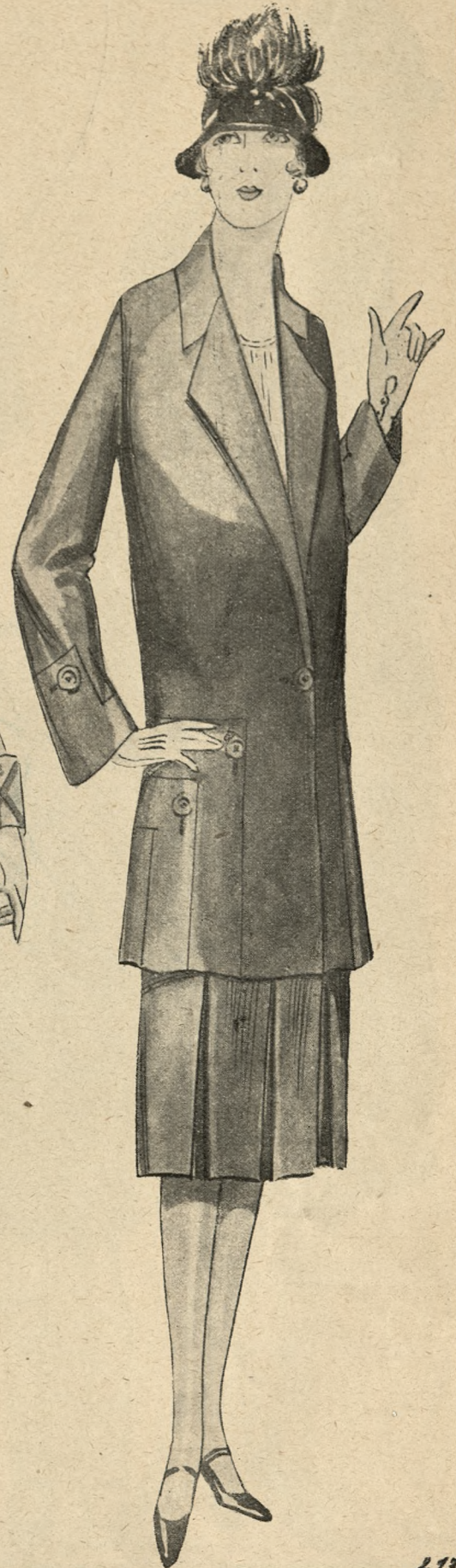
N. Samotyhowa

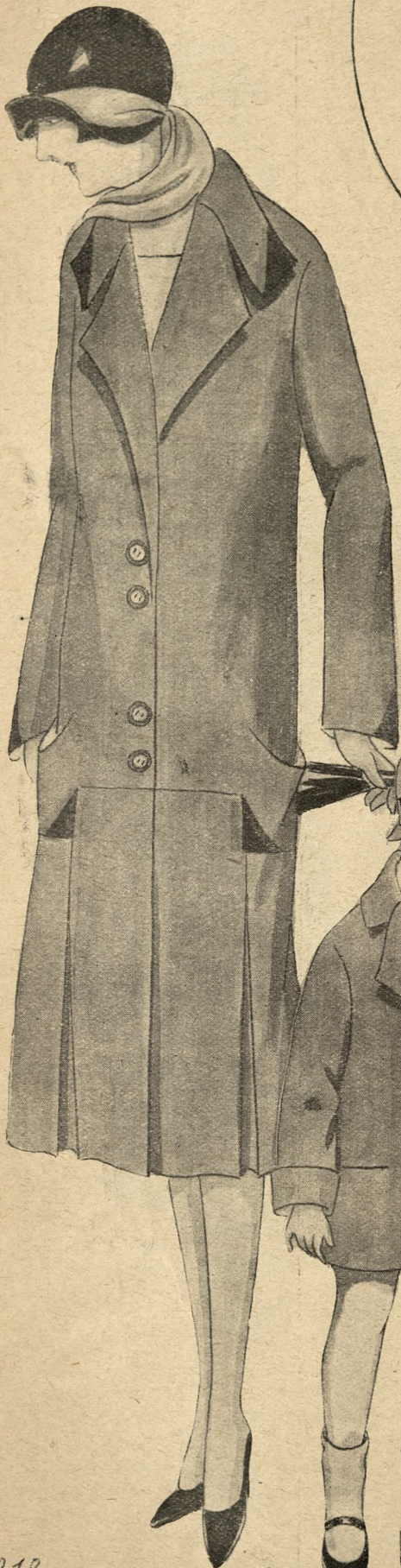
KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

ODSZKODOWANIE ZA MEŻA

W Ameryce — kraju wszelkich możliwości — zdarzył się niedawno taki proces rozwodowy: niejaka pani Frey z Nowego-Yorku została opuszczoną przez męża, który zakochał się w artystce kinowej, pannie Wildzie Bennett. Pani Frey, zamiast iść zwykłą, utartą już drogą procesu rozwodowego, wpadła na pomysł wysoce oryginalny, wytoczyła mianowicie proces nie mężowi, a swojej rywalce, żądając od niej nie mniej, ni więcej, tylko 100.000 dolarów odszkodowania za odebranie jej męża!

Panna Bennett na rozprawie sądowej przedstawiła świadków, którzy mieli stwierdzić, że to nie ona była powodem przeniewierstwa pana Freya, miał on bowiem zerwać stosunki ze swą małżonką jeszcze wcześniej, zanim się zaręczył z ową artystką. Sąd jednak przyznał słuszność pokrzywdzonej pani Frey, różniąc się z nią jedynie w zdaniu co do oceny wartości w dolarach jej małżonka. Zamiast bowiem żądanych stu tysięcy, przyznał jej tylko trzydzieści siedem tysięcy dolarów odszkodowania. Z P.





218.

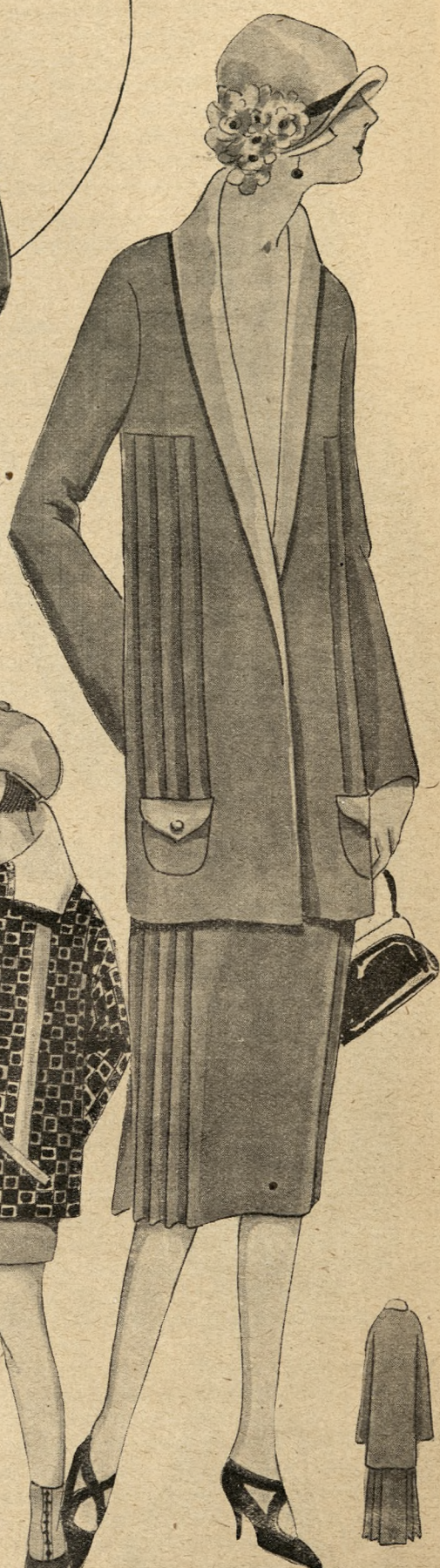
219.



220.



221.



222.





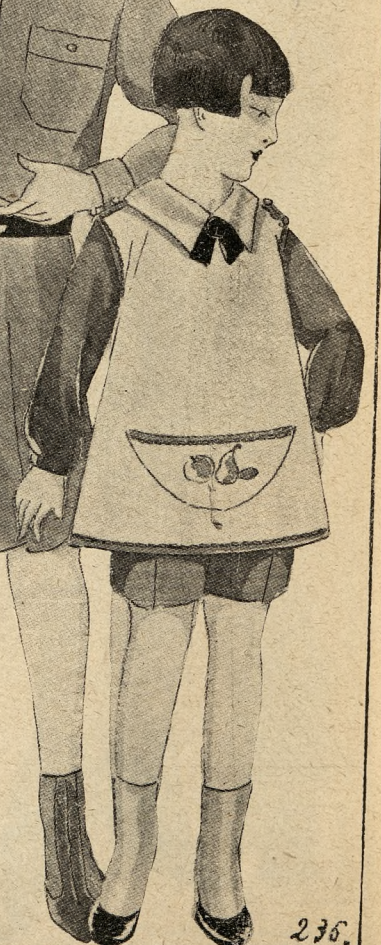
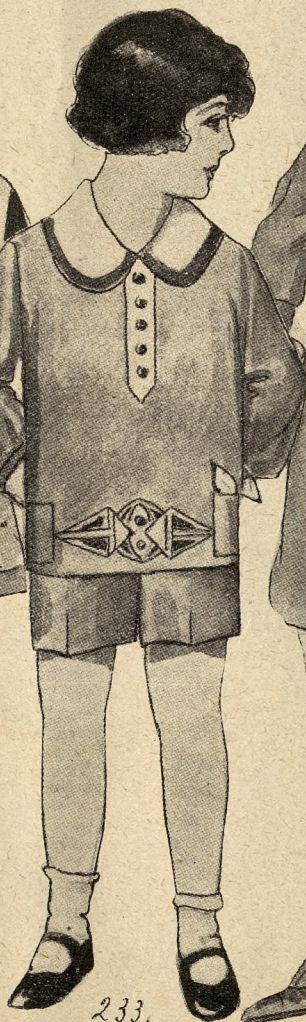
223.

224.

225.

226.

227.



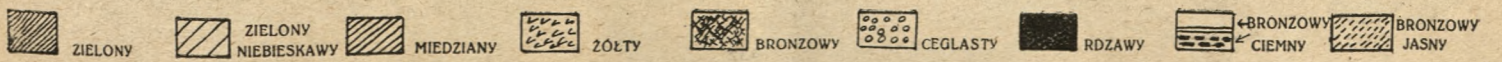
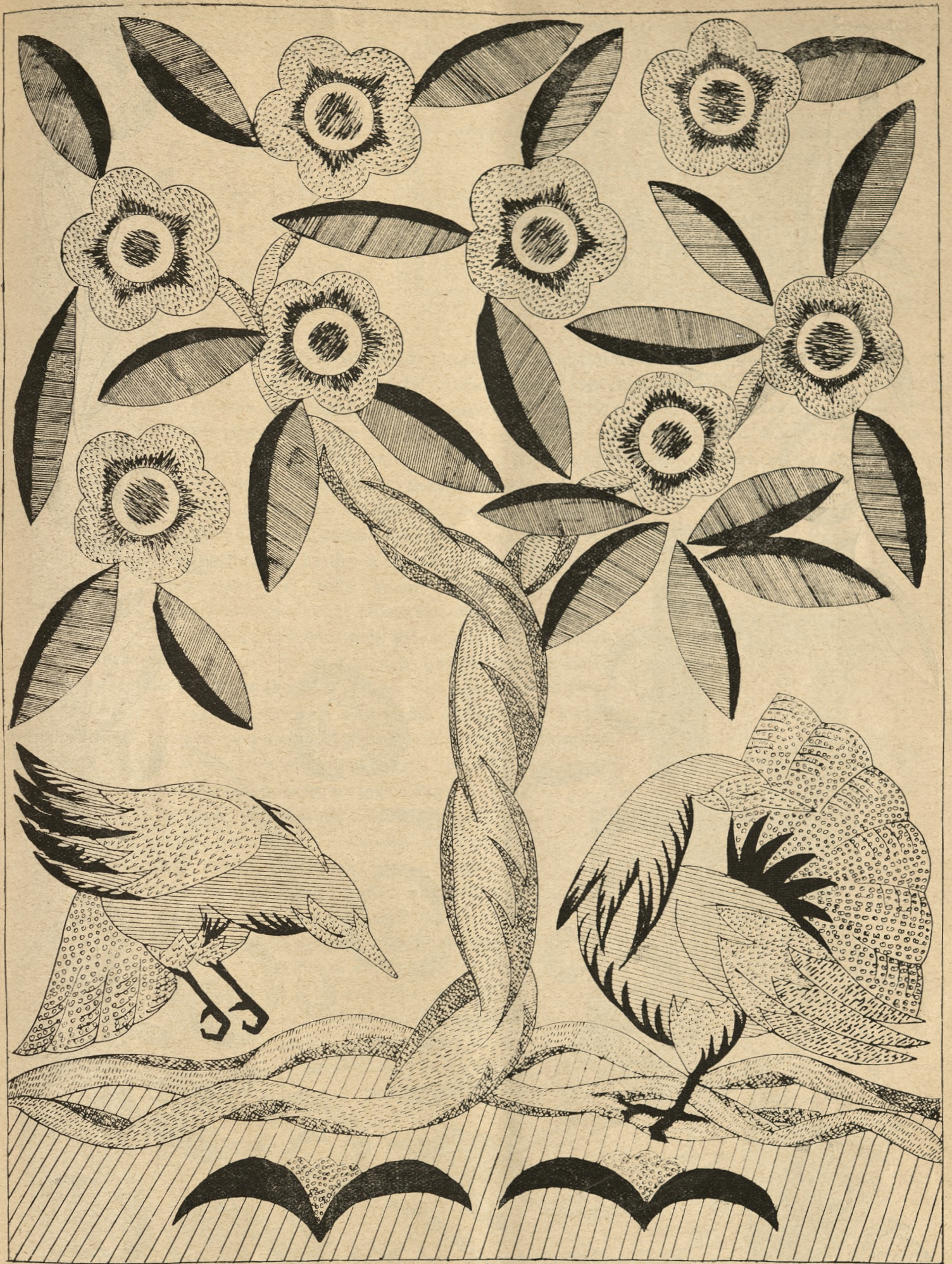
231.

232.

233.

234.

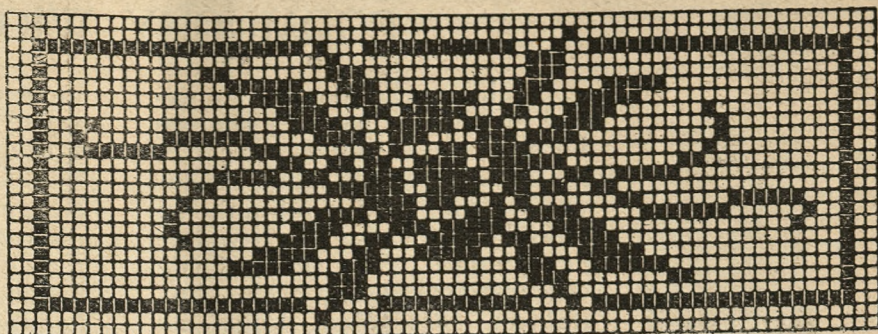
235.



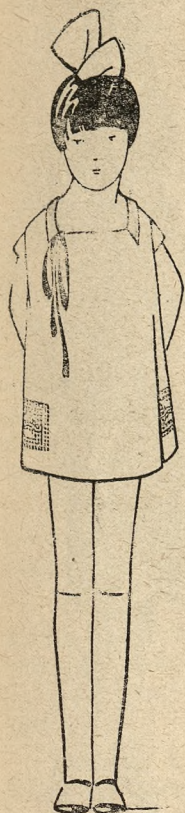




1.



CO MOŻNA ZROBIĆ Z MOTYWU NA SIATCE

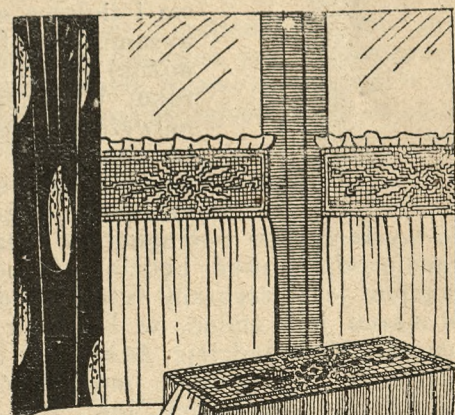


2

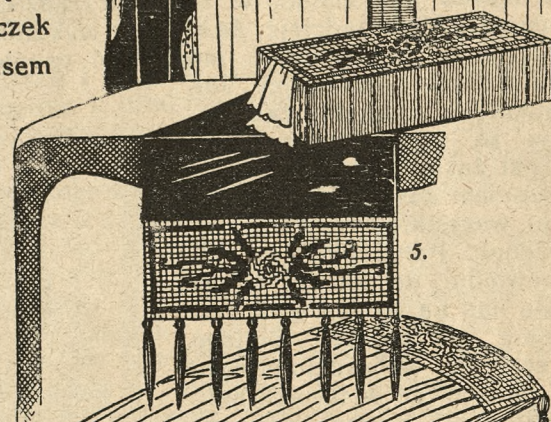
Od grubości nitki, wielkości oczek i koloru w jakim wykonamy prostokąt, Ryc. № 1, mający 96 na 25 oczek, zależy różnorodność jego zastosowania. Pas siatki z jedwabiu, w kolorze podchodzącym do piaskowego crêpe de chine'u, na nim wyszyty w odpowiednim tonie motyw, podany na rys. 1, powtarzający się w odstępach kilka razy, przybierze ładnie sukienkę dziecienną, rys. 2. Na rys. 3 widzimy firanki siatkowe, poszywane nitką lnianą w tym sam deseń. Pudełko na rękawiczki rys. 4, obciążone materią fantazyjną, ozdobione wskazanym powyżej motywem w dobrze dobranych kolorach jedwabiu, dużo zyska na wyglądzie. Laufer z płótna jedwabnego rys. 5 przybrany jest taką samą siatką poszytą jedwabiami w kilku cieniach. Poduszkę rys. 6 z szarego splisowanego jedwabnego płótna ozdoby

my, przyciskając płótno po dwóch końcach prostokątami z siatki, poszytej nitką lnianą. Wspaniale też wyda się prostokąt zrobiony w kolorze mory orzechowej, którym pokryjemy okładkę do książki i podłożymy go ciemno purpurowym aksamitem rys. 7. Woreczek do roboty rys. 8 zrobiony z materji w paski, przystrojony pasem

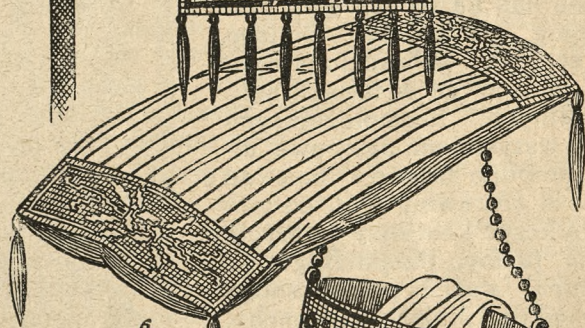
siatkowym, poszytym jedwabiami w kilku cieniach, wykończony odpowiednio dobranymi paciorkami z drzewa, miły stanowiąc może podarunek. Rys. 9 wskazuje poduszkę zrobioną z pasów aksamitu i lamy, zeszytych naprzemian, na tle lamy bogato odbijają motywy z siatki jedwabnej w kolorze aksamitu. Nakoniec rys. 10 koszulka nocna koloru kości słoniowej ozdobiona motywami siatkowymi w tym samym kolorze, z pod których wychodzą plisowane boki.



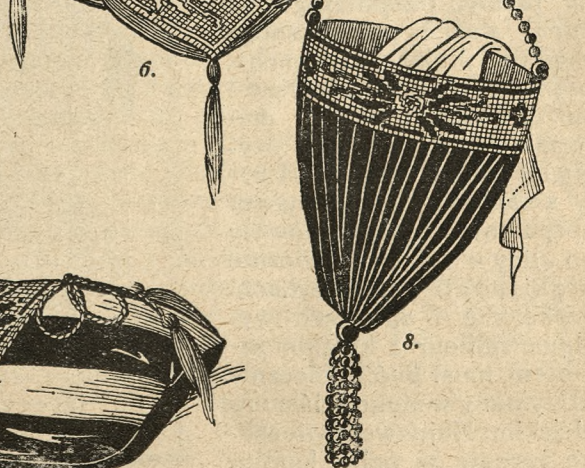
3.



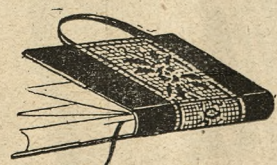
4.



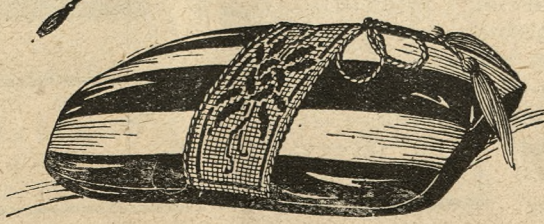
5.



8.



7.



6.



10.



PODMUCHY WIOSENNE



Jak przy naszej kapryśnej aurze w najbardziej zimowe dni styczniowe zdarzają się ciepłe, mokre poranki, przypominające wiosnę, tak i w ubraniu do największego szyku należy w drugiej połowie zimy podkreślenie nadchodzącej wiosny jakimś dyskretnym szczegółem. Bukiecik fiołków przy kołnierzu futra, kapelusz z georgette'y przybrany paskami błyszczącej słomki. To już w początkach lutego. Aksamit wygnany czeka cierpliwie, aż znów się stanie aktualny.. w lipcu. Małe formy kapeluszy zdają się triumfować definitywnie; nie nadługo. Wraz z letnią powiewną suknią wrócą wielkie fantazyjne pasterki i będą trwałe, słomkowe i tiulowe w maju i czerwcu, aksamitne i filcowe potem, do późnej jesieni. Tak się dzieje co roku. W początkach marca czas najwyższy pomyśleć o kostjumie na ulicę, jeśli się takowego nie posiada. Bo jeżeli Pani sprawiła sobie tej jesieni modny kostjum,

to wystarczy go wyciągnąć na światło dzienne i starannie odprasować, będzie najzupełniej dobry. Jeśli kostjum jest przybrany futrem, będzie go Pani nosiła w marcu bez zmian, w kwietniu radziłabym futro usunąć. Mam nadzieję, że krawiec wykończył kostjum starannie, przewidując możliwość usunięcia ozdób futrzanych. Kostjumy lub suknie z długimi żakietami są bardzo praktyczne. Taki żakiet może z powodzeniem zastąpić płaszcz do wszystkich lekkich sukienek. Paryżanka ma odpowiedni do każdej sukni, ale nas na to nie stać, musimy oszczędzać. Dlatego też lepiej wybrać i materiał i podszewkę w tonach neutralnych, harmonizujących ze wszystkim. Jaskrawe, ultramodne brigue i bois de rose zostawmy tym, co mogą liczyć kostjumy i okrycia na tuziny. Dzięki Bogu, że minął szal prześlicznego skąd nąd koloru pervenche, odpowiedni na kapelusze i suknie wieczorowe w materiałach okryciowych wyglądał wprost fatalnie. A były amatorki i nieraz nawet korpulentne, co paradowały po ulicy w takich idyllicznie błękitnych płaszczkach. Szykownie i sportowo wygląda tailleur z krótkim żakiem, musi być koniecznie utrzymany w stylu ściśle angielskim. Najnowsze wiosenne żurnale są pełne kostju-

mów o żakietach krótkich, więc sądzę że uzyskają one narówni z długimi prawo obywatelstwa.

O ile długi żakiet nadaje się raczej do sukni, tworząc z nią razem tak zwany deux pièces, o tyle krótki żakiet wymaga koniecznie spódniczki i casaque lub kamizelki (trois pièces). Wobec krótkich żakietów, wiosenne casaques nie mogą być również zbyt długie, sięgają o jakieś dwie dłonie poniżej normalnej linii stanu. Żaboty znudziły się jeszcze w zeszłym roku, modne są małeńkie wykładane kołnierze, podchodzące wysoko pod szyję, związane wąziuchnym krawcikiem. Ładnie wyglądają casaques z materiału w poprzeczne pasy o zasadniczym tonie zbliżonym do koloru kostjumy. Kamizelki są zawsze najszcześniejszym skompletowaniem kostjumy w kroju nieco męskim, harmonizują również z krótko ostrzyżoną główką, która wbrew zapowiedziom pesymistów jakoś bynajmniej nie zamierza wychodzić z mody. Spódniczki kostjumowe bywają fałdowane mniej lub więcej suto. Forma kontrafałd „wachlarzowych“ (założonych do środka) zostawia iluzję linii prostej, pozwalając na zupełną swobodę kroku. Modne są spódniczki karbowane i plisowane oczywiście z cieńszych materiałów. Ślicznym strojem, przejściowym między futrem, a kostjumem jest żakiet z kretów, niestety nie dla wszystkich dostępny. Spódniczka musi być taupe lub brunatna, fałdowana, lub karbowana, duża krata w odcieniach szaro-bronzo- wych wygląda również bardzo elegancko. Jaskrawa nuta kapelusza ożywi ciemną sylwetkę. Czarne kapelusze wyszły w Paryżu zupełnie z mody, a co zatem idzie i u nas. Niestety modne w tym roku w Paryżu kolory: ceglasty, żółty i wszystkie odcienie zielonego są dla większości osób bardzo nie awantażowne, zwłaszcza przy wiosennej zmęczonej cerze. Oby zechciała wrócić dobroczynna moda woalek. Obuwie do kostjumy wiosennego powinno również mieć charakter sportowy, grubą podszew i szerokie angielskie obcas. Cienkie podszewki rozmakają, a śpiżczaste francuskie obcasiki wykrzywają się komicznie na wiosennym błocie, soli-



dnie i ładnie wyglądają pantofle spięte stalową klamrą lub półbuciki, koloru ciemnobronzowego który nadaje się do wszystkiego. Pończoszka również lepiej wygląda ciemna. Cielista, ochlapana kropelkami błota, wygląda tragikomicznie.

Cennym i pożytecznym nabytkiem wiosennym będzie dla każdej z pań płaszcz z impregnowanej gumą gabardiny, broni przed słońcą skuteczniej, niż parasol, no i o wiele eleganciej wygląda. Służyć może od marca do listopada. Ładnym skompletowaniem takiego płaszcza jest szczerze otulający włosy, małeńki kapelusik skórzany, lub ceratowy.

Ostatnią wreszcie nowością są kostjmy z rodzajem bluzy zamiast zakłada.

Nie rozcinane, kładzione przez głowę, wykończone są zwykle kołnierzem zapiętym pod szyją, lub lekko otwartym i zakończonym dużą kordą.

Ozdobę i wykończenie stanowią kieszonki i przybranie z guzików. Rękawy długie, najczęściej zwykłe ko-



szulowe ujęte w mankietik. Spódniczka plisowana maszynowo w podłużne rzędy drobniutkich zakładek, pomiędzy którymi pozostawia się odstęp gładkiego materiału.

Jeżeli suknia jest zrobiona z materiału do prania, można zamiast karbowanej spódnicy zrobić układaną w równe fałdki, po dwóch bokach, lub też pasami, z pozostawieniem między nimi gładkich kawałków materiału.

Taką spódniczkę można prac z łatwością i zaprasowywać fałdki na desce od prasowania.

Suknia taka może być wykonana z mięsistego crêpe de chine'u, z wełnianego, lub jedwabnego trykotu, z wełnianej miękkiej flaneli, z cienkiego sukienka, wreszcie z jakiegos letniego materiału. Można też zrobić spódnicę w kratkę, t. zw. pepitkę, a bluzę gładką w odpowiednim kolorze.

Jednym z najmodniejszych sposobów przybierania jest wykończenie plisami tegoż koloru co suknia, w tonach od najjaśniejszego do najciemniejszego. Well.

W IMIĘ LEPSZEJ PRZYSZŁOŚCI

Wszelkie urządzenia, upraszczające obchodzenie się bez służby domowej, w które tak rozsądnie i planowo obfituje Zachód, byłyby u nas nietylko pożądane, ale zbawienne i konieczne.

Różnica, polegająca na taniej i łatwej służbie, w którą Polska obfitowała przed wojną, zatarła się zupełnie. Dzisiejsze wynagrodzenia są identyczne. Warszawa 50 — 70 zł. miesięcznie, Paryż 200 — 250 fr., co po przeliczeniu wskazuje na kompletną równowagę. Utrzymanie służącej, tak tu, jak tam dla rodziny skromnie uposażonej jest ciężarem nadmiernym, którego kobieta francuska umie uniknąć, a który tak nienormalnie przeważa budżet przeciętnego domu polskiego. Czy odpowiedzialność spada tu jedynie na nas, na niezaradność naszą, brak pracowitości, nałóg uświęcony szeregiem lat, na skłonność życia ponad stan i wynikającą z tego wieczną rozbieżność rubryk: „winien i ma“?

W zarzutach tych, z którymi spotykamy się niejednokrotnie, tkwi zarodek bolesnej prawdy. A jednak, na swoje usprawiedliwienie w tym wypadku, w wypadku, gdzie chodzi o podołanie przez jednostkę nieprzygotowaną pracy, wpływającej z utrzymania w porządku domu i nakarmienia rodziny w technicznym tego słowa znaczeniu, mamy usprawiedliwienie, wpływające z utrudnień, jakie spotykamy na każdym kroku.

Utрудnieniem są nam wadliwe i niedbale skonstruowane mieszkania, brak najprostszyc udogodnień, niezorganizowane dostawy produktów koniecznej potrzeby, niesumienność kupiectwa, granicząca ze stanem wprost chorobliwym i kompletne zapo-

znanie potrzeb i wygody klienta, łącznie z rozpaczliwym pojęciem o punktualności.

Abyśmy na wzór zagranicy mogły obejść się bez stałej służby i tym sposobem zwolniły budżet nasz od nadmiernego balastu, trzeba trzech podstawowych rzeczy: „chcieć, móc i umieć“.

W zdobyciu pierwszej barykady leży najpoważniejsza trudność do zwalczania. Przystawając sobie twierdzenie, że: „przysłowia są mądrością narodów“ w powiedzeniu „chcieć — to móc“ znajdziemy punkt wyjścia — wyjdziemy jednak na drogę wyboistą i uciążliwą — wyrówna ją jedynie na co bezwzględnie lat potrzeba, celowe i rozumne dążenie do raz wytkniętego celu.

Jeżeli wyzbędziemy się niezdrowego zwyczaju wiecznego wyręczania się i zapatrywania na pracę domową, jako na dziedzinę zgóry przesądzoną, której poświęcić się możemy jedynie przejściowo i to z konieczności — zrozumiemy prędko i łatwo, że w małym gospodarstwie parogodzinna obsługa ranna wystarczy najzupełniej. Trzeba jednak, na to zmienić zasadniczo punkt widzenia, dzieląc sprawiedliwie i normalnie ciężar życiowy pomiędzy kobietę i mężczyznę, doceniając wartość rozumnego i oszczędnego użytkowania zarobionych przez niego pieniędzy — szczególnie dzisiaj przy tak trudnych warunkach życia i zarobkowania.

Jeżeli zatem weźmiemy za wytyczną jedynie racjonalne twierdzenie, a mianowicie, że każdy człowiek jest stworzony do pracy i że taki ustrój, a nie inny stałe się podwaliną normalnych stosunków społecznych — dążyć będziemy ku zatraceniu w przyszłości typu kobiety, którą w jej własnym mniema-

niu sam tytuł „żony“ zwalnia od wszelkich trudów, prócz trudu wydawania zarobionych przez męża pieniędzy. Otóż zacznijmy od przejawów najczęściej spotykanych i zmodyfikujmy ustrój naszych przeciętnie uposażonych domów, biorąc na siebie ciężar poprowadzenia gospodarstwa.

Wielkiem ułatwieniem będzie przede wszystkim racjonalne wychowanie dziewcząt, które bez względu na stan majątkowy, fach, stopień wykształcenia i t. d. winny posiadać kompletne i wszechstronne wykształcenie praktyczno-gospodarcze wraz z wyniesionym z domu nawykiem brania czynnego udziału w pracach domowych.

Dalej czynnikiem niezbędnym i wielce pomocnym będzie przystosowanie handlu do nowego stroju i stworzenia tego, co widzimy zagranicą na każdym kroku. Primo: zorganizowanie dostaw punktualnych do mieszkań prywatnych, dostaw nie tylko mleka i pieczywa, jak to już w miastach Wielkopolski jest praktykowanym, ale i wszelkiego nabiału, jarzyn, drobiu, zwierzyny, ryb, owoców etc., które w wielkich miastach Zachodu rozwożą codziennie, sprzedając wprost z wózków, lub na zamówienie dostarczając o ściśle oznaczonej godzinie — do domów. Zagranicą coraz częściej spotyka się tak bardzo dogodny zwyczaj przedwojenny, składania pod drzwiami mieszkań prywatnych, koszyczków z pieczywem i butelek, lub baniek z mlekiem. Dlaczegoż u nas miałyby to być niewykonalnym?

Duży teren pracy zarobkowej dla kobiet leży odłogiem, a chcąc stworzyć w miastach naszych warunki sprzyjające zmodyfikowaniu i ułatwieniu gospodarstwa domowego, wykorzystanie takowego jest nie tylko wskazane, ale nad wszelki wyraz pożądane, wypowiadając się w stworzeniu placówek, które zorganizowane fachowo, a prowadzone sumiennie i umiejętnie upraszczałyby tak bardzo utrudzającą i absorbującą kwestję kulinarną.

Zrzeszenia kobiece powinny pomyśleć o założeniu sklepów z produktami spożywczymi nienagannej świeżości i jakości, primo w stanie surowym, lecz przygotowanym kompletnie do gotowania, czy też smażenia np. jarzyny oczyszczone i pokrojone, wszelkie kluski, makarony, pierożki gotowe do rzućcia na wrzącą wodę, drób, ryby, zwierzynę oczyszczone, naszpikowane, wymagające jedynie usmażenia, lub ugotowania, kotlety, befsztyki, zrazy i t. p., wykrojone, zbite, panierowane; secundo: potrawy pod-

stawowe w stanie gotowym do spożycia, tak żeby osoba pracująca w czasie przerwy obiadowej nie tylko mogła posilić się racjonalnie i wystarczająco, ale żeby to nie było połączone z wysiłkiem i trudem przygotowania nagwałt czegośkolwiek, lub żywienia się w rujnujących zdrowie stołowniach, czy restauracjach.

Przy sklepie takim musi być czysta, obszerna, widna i widoczna dla konsumentów kuchnia gazowa, która w ściśle oznaczonych godzinach wydawałaby wprost z kotłów porcje do spożycia na miejscu, lub zabrania do domu. Spis potraw winien być wywieszony z dnia na dzień. Potrawy wydawane niech będą zawsze odżywcze, smaczne, ale nie wyszukane.

W pierwszej linii jarzyny, pożywne zupy, potrawy mączne, dalej wszelkie mięsa gotowane, duszone i pieczone, wymagające dłuższego przyrządzania, kompoty, sałaty, galarety, tak doskonałe, a niedrogie kartofle, makarony, mieszaniny jarzyn, zapiekane w rynkach pod warstwą tartej bułki, czy parmezanu. Taki sklep—stołownia winien wydawać śniadania od bardzo wczesnej godziny, aby osoby pracujące mogły posilić się, idąc do swych zajęć i koniecznie kolacje zimne i ciepłe, co uwolniłoby gospodarstwa, nie mające stałej służby, od niemiłego zmywania statków, a osoby pracujące poza domem od troski przewidowania się z góry.

Idealnym wcieleniem w życie powyższego projektu byłoby zainteresowanie ziemianek, które dostarczając produkty pierwszorzędne i z pierwszej ręki nie tylko współdziałałyby w pożytecznym przedsięwzięciu, ale miałyby równocześnie stałe i pewne, a sumienne źródło zbytu.

Drugą ważną kwestją jest umiejętna organizacja, oparta na kooperacji i fachowe, a równocześnie i ideowe kierownictwo, poparte zrozumieniem ważkości takiej placówki.

Trudność stanowiłaby kwestja lokalu, który powinien być nie tylko bardzo obszerny, widny i czysty, ale i odpowiednio, a planowo skonstruowany, odpowiadający wszelkim wymaganiom higieny i estetyki.

Jeżeli, zaczynając na małą skalę, zdołamy stworzyć w każdej dzielnicy naszego miasta podobną placówkę, kwestja kulinarna, tak dla kobiet, chcących obejść się bez kosztownej służby, jak i dla osób pracujących, a zwykle źle i niewystarczająco odżywianych, byłaby prawie, że rozwiązana. N-ska.

OCZYSZCZANIE SADÓW

(Dokończenie)

Inna grupa szkodników zimuje w oprzędach, sporządzonych na wierzchołkach gałęzi z suchych liści i nitki pajęczyny. W zimie najłatwiej jest dostrzec owe pęczki liści i ściąć je przy użyciu robaczniaka, czyli sekatora, osadzonego na długiej tyczce. Gdy ścięte gniazdo rozwiniemy, okaże się, że w niem spoczywają uśpione małe larwy, należące bądź do Bielinka głogowca, bądź do Rudnicy złotopłynnej. Oba gatunki motyli składają jajeczka w jesieni, z nich wylęgają się wkrótce larwy, które ze szkieletów i twardszych części objedzonych listków, osnutych pajęczyną i silnie umocowanych do wierzchołków latorośli tworzą trwałe i ciepłe gniazda zimowe. Gniazda te po obcięciu należy zbierać sta-

rannie i palić, bo z pozostawionych na ziemi larwy się wydostaną i będą na drzewie prowadziły z nastaniem wiosny niszczycielską robotę.

Trzeba też starannie oglądać pień, rozwidlenia grubszych konarów i latorośle w poszukiwaniu jajeczek jeszcze innych pasorzytów. Oto na pniu i konarach często spostrzeżemy niby klączki hubki, z jesieni jaskrawiej brązowo zabarwione, ku wiosnie bardziej wyblakłe, żółtawe. Gdy hubkę poruszmy łatwo odpadną drobne włoski, a z pod nich ukażą się niby perełki, lśniące, kuliste różowe jajeczka Rudnicy nieparki, złożone w jesieni i otulone przed działaniem mrozów rudawymi włoskami z odwłoka samicy. Jajeczka są tak twarde, że nie na-

leży się kusić o rozmiażdżenie ich na pniu, ani na ziemi. Przeciwnie, trzeba je starannie zebrać, żeby ich nie uronić i wrzucić we wrzątek, albo w ogień, aby być pewnym, że zostały naprawdę unieszkodliwione. Z przeoczonych jajeczek wylęgają się na wiosnę liszki, szybko rosnące, bardzo żarłocze. Rychło rozchodzą się pojedynczo po drzewie i po parokrotnej zmianie skóry uzyskują ozdobę w postaci barwnych kropek: na jednej połowie ciała noszą na każdym pierścieniu po dwa punkty czerwone, na drugiej połowie po dwa punkty granatowe. Ukrywają się przed okiem ludzkim w szczelinach kory.

Na latoroślach, przy pewnej wprawie, będziemy mogli zauważyć obrączki, sklejone z mnóstwa punkcików, ustawionych w prawidłową linię spiralną. Te obrączki są bardzo twarde, szerokie czasem na pół cm., czasem przeszło na cm., a opasują latorośl tak ściśle, że się aż w nią wrzynają. Są to jajeczka ćmy Pierścienicy, albo Barczatki pierścienicy, sklejone ściśle wydzielinami samicy, a tak twarde, że ich młotkiem na drewnianym stole rozmiażdżyć nie można. Rzucone w ogień, pękają z hukiem, więc po kilka obrączek naraz można tylko wrzucać pod blachę. Położone na rozpalonej płycie kuchennej, pękają z trzaskiem i skaczą, jak żywe.

Z tych obrączek wylęgają się wiosną setki liszek, żyjących z początku gromadami w oprzędach, snutych w rozwidleniach grubszych gałęzi. Na żer nie wychodzą z nich liszki w ciągu dnia, ale pod wieczór, lub w czasie chłódów gromadzą się znowu w oprzędach. Ten ich obyczaj ułatwia niezmiernie zwalczanie liszek, wylęglých z przeoczonych pierścieni: wypatrzone oprzędy można gnieść gałganem, umaczanym w mydlinach, osadzonym na kij.

W miarę wyrastania liszki coraz mniej tworzą oprzędów, ale jeszcze skupiają się na pniu i na grubszych gałęziach. Spostrzeżone kolonje doskonale można niszczyć, zraszając je bardzo delikatnie naftą. Delikatnie — ażeby nie moczyć naftą tkanki drzewnej, przez którą wtedy soki nie mogłyby krążyć należycie, bo tłuszcz, zawarty w naftcie, zatykałby kanały. Ponieważ zaś minimalna ilość nafty zabija bezwzględnie liszki, więc wystarczy mieć zawsze w kieszeni buteleczkę z naftą i rozpułcz tani, złożony z dwóch rurek, ustawionych do siebie pod kątem prostym, żeby zauważone podczas pracy lub spaceru gniazda liszek uśmiercić jednym dmuchnięciem zabójczej cieczy.

Wyrośnięte liszki Pierścienicy nabierają pięknej barwy: wzdłuż strony grzbietowej przebiegają równoległe pasy: białe, czerwone i granatowe, a na wyraźnej fiołkowej głowie odcinają się dwie czarne plamy oczu. Tak wykształcone liszki rozchodzą się już pojedynczo po drzewie, prowadzą gospodarstwo każda na własną rękę, i zwalczanie ich staje się bardzo trudne, bo trzeba każdą z nich wyszukiwać i uśmiercać osobno.

Wogóle zasadą w walce z pasożytami zwierzęcymi jest: występować przeciwko nim w tych sta-

djach rozwoju, w których można je tępić masowo, bądź w postaci jajek, bądź w postaci larw młodych, przeważnie żyjących gromadami. Kto te okresy przeoczy, tego czeka zadanie wiele trudniejsze i praca uciążliwsza, a mimo to mało produkcyjna.

Podczas wyszukiwania jajeczek owadów, możemy też zauważyć tkwiące na gałęziach zeschnięte owoce, zbrunatniałe, pokryte jakby pleśnią. Są to tak zwane „mumie owocowe“, czyli owoce, zniszczone przez grzybek pleśniowy (Monilia), zgniłe i jako bezwartościowe, pozostawione przy zbieżce na drzewie. Dużo takich owoców, pokrytych na miejscach gnijących ustawionymi koncentrycznie szaremi plamkami pleśni (zarodników grzybów pasorzytnych) spada w ciągu lata z drzewa i wala się po ziemi. Z nich grzybek przenosi się na zdrowe owoce i zaraża je, wskutek czego gniją, potem zaś usychają i pozostają w postaci mumji na drzewach. Mumje te należy teraz starannie zebrać i zakopać głęboko w kompost, lub spasać trzodą. W celu zapobiegania rozprzestrzenianiu się choroby wskazane jest zraszać drzewa cieczą bordoską, albo środkiem zastępczym, zwanym „Arbosan“, o czym poniżej napiszemy obszerniej.

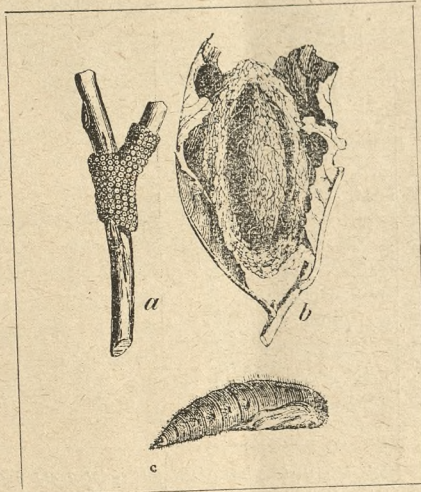
Na latoroślach możemy jeszcze zauważyć czarny nalot, jakby powłokę z sadzy, są to zarodniki t. zw. czarnego grzybka (Fusicladium), który wywołuje powstawanie czarnych plam na liściach i przedwczesne ich opadanie, i powstawanie czarnych plam na owocach (jabłkach i gruszkach), wskutek czego ulegają one karłowaceniu, zniekształcają się, tracą wartość handlową i dają urodzaj kilkakrotnie mniejszy od normalnego. Tu środkiem zaradczym jest przede wszystkim regularne zraszanie całych drzew środkami grzybobójczymi, a takim jest ciecz bordoska. Składa się ona z siarczanu miedzi (sinego kamienia) i wapna w równych częściach na wagę. W celu przygotowania cieczy trzeba w naczyniu glinianym lub kamiennym rozpuścić, przypuśćmy, 1 kg. siarczanu miedzi. Rozpuszcza się on łatwo w wodzie gorącej w zimnej zaś bardzo powoli.

W drugim naczyniu będziemy rozpuszczali wapno. Najprzód bierzemy bryłkę wapna wagi 1 kg., skrapiamy ją wodą o tyle, żeby się rozpadła na proszek, ewentualne kamienie zastępujemy odpowiednią ilością dobrego wapna i, proszek uzyskany rozpuszczamy w kilku litrach wody.

Następnie do większej kadzi, czy beczki wlewamy tyle wody, ile brakuje do 100 ltr. po odliczeniu ilości, użytej do rozpuszczenia obu składników, i do tej kadzi wlewamy przecedzony roztwór siarczanu miedzi i również odcedzony roztwór wapna, przy ciągłym mieszaniu. Powstaje ciecz błękitna, w której urosi się niebieski osad, rychło osiadający na dnie naczynia. Pozostająca woda jest wtedy bezbarwna. Nóż, zanurzony do cieczy bordoskiej dobrze przyrządzonej, nie powinien pokrywać się osadem miedzi, a papierki lakmusowe powinny nie zmieniać barwy. Takie przyrządzenie cieczy jest dość trudne i kłopotliwe, zabiera sporo czasu, a ciecz źle



BIALKA RUDNICA
Czyli Rudnica złotopłynna. U góry samiec, u dołu samica, składająca jajeczka, które pokrywa złotymi włoskami z odwłoka.



BARCZATKA PIERŚCIENICA
a—pierścień z jajeczek na latorośli; b—poczwarka osnuta kokonem i ukruta wśród spojonych oprzędów liści (okres letni); c—poczwarka

przygotowana może wyrządzić roślinom szkodę. Dlatego korzystnie jest nabywać preparat „Arbosan“, który nie tylko zawsze jednakowy skład posiada, chemicznie wypróbowany, ale rozpuszcza się w wodzie, od razu zaś w postaci suchego proszku jest bardzo trwałe. 1 kg Arbosanu, rozpuszczony w 100 litr. wody, daje ciecz bordoską 1%, a więc składem swoim odpowiadającą poprzednio opisanej Roztwór Arbosanu trzyma się na liściach lepiej, niż osad cieczy bordoskiej, więc też działa skuteczniej. Choć Arbosan wypada nieco drożej, ale wystarcza mniejsza ilość zraszań, więc na jego korzyść wypada oszczędność na materiale i na robociznie. Powinny go trzymać w sprzedaży wszystkie sklepy nasion i przyborów ogrodniczych.

Obie ciecz należy rozpylać przy pomocy specjalnych rozpylaczy, dający rozpył jaknajsubtelniejszy (mgławicowy) i zaopatrzonych w automatyczne mieszadło, ażeby skuteczna zawiesina nie osadzała się na dnie zbiornika. Przy prawidłowo wykonywanym zraszaniu rozchód cieczy jest niewielki, mniej więcej 5 litr., na drzewo średniej wielkości.

Oczyszczanie drzew powinno być połączone z przeredzeniem koron drzew starszych i z formowaniem koron drzewek młodych. Im łatwiejszy dostęp do wnętrza korony ma powietrze i światło słoneczne, tem mniej pleni się pasorzytów, tem dorodniejsze wyrastają owoce. Przeredzenie koron powinno być wykonywane systematycznie, żeby nie wycinać nigdy dużo gałęzi od razu, gdyż wprowadza to zaburzenia w normalnym wzroście drzew. Przedewszystkiem wycinać trzeba gałęzie chore, suche, albo takie, które przeszkadzają innym we wzroście, krzyżując się z nimi, lub je obcierając. Następnie przychodzi kolej na rosące w poprzek lub ku środkowi korony, przyczem dążyć należy do wycinania najgrubszych konarów u nasady, unikając strzyżenia drobnych gałązek i latorośli. Pracę taką powinny wykonywać dwie osoby: jedna z ziemi kieruje czynnością, wskazując poszczególne gałęzie, nadające się do usunięcia, druga zaś na drzewie pracuje piłą, sekatorem i nożem. Najłatwiej znoszą cięcie jabłonie i grusze. Drzewa pestkowe (czereśnie, wiśnie i śliwy) wskutek przycinania łatwo gumują, więc z nich należy wycinać tylko suchy, lub wygładzać miejsca, w których gałęzie uległy złamaniu, czy usuwać odnogi chore. Brzoskwiń i moreli nie tkniemy

wcale. Orzechy włoskie również budują piękne korony bez pomocy rąk ludzkich, a wskutek cięcia łatwo przymarzają, albo zasychają.

Jeżeli ze starszych gałęzi wyrastają w niektórych miejscach pojedynczo lub kępkami silne, proste latorośle, t. zw. wilki, to nie można ich wycinać wszystkich od razu. Obecność wilków świadczy, że obieg soków nie jest prawidłowy, że szukają one sobie ujścia, lub dążą do przysporzenia drzewu masy zielonej. Po radykalnym zoperowaniu wilki ukazywałyby się znowu często w zwiększonej ilości. Więc istniejące należy tylko przeredzić, a pozostawione skrócić o trzecią część, lub najwyżej o połowę. Po roku lub dwóch mogą się one przekształcić w pożyteczne gałązki owocodajne, zwłaszcza jeśli wyrastają w miejscach, w których wytworzyły się luki.

Wreszcie u stóp drzewa wyrastają często z ziemi mniej lub więcej liczne pędy, osadzone bądź na samym pniu, bądź w pewnej od niego odległości. Takie odrosty trzeba wycinać nie tylko przy zimowym oczyszczaniu sadu, ale w ciągu całego roku, w miarę ich wyrastania. Ale pod tym względem bywa popełniany błąd: wycinanie często wykonywamy silnym uderzeniem łopaty, przyczem nie tylko odrosty ale i korzeń drzewa pada ofiarą, na którym one wrosły. Nasadę odrostów należy odsłonić z ziemi i wszystkie pędy wyciąć gładko ostrym nożem, żeby rany szybko i łatwo się goiły. Z pozostałych w ziemi resztek niedbale wyciętych odrostów będą się ukazywały ciągle nowe pędy i wkrótce powstaną narośli, której zoperowanie prawidłowe będzie przedstawiało znaczne trudności i wywoła dużą ranę. Oto szereg robót, które w sadzie powinny być wykonane zanim na drzewach liście się rozwiną. Wyjątek stanowi zraszanie cieczą bordoską od czarnego grzybka. Pierwsze kropienie powinno być wykonane przed rozwinięciem się liści, do czego można użyć nawet samego siarczanu miedzi w stosunku 1%. Następne skrapiania można wykonywać tylko cieczą bordoską, lub Arbosanem pierwsze po przekwitnięciu drzew, drugie i trzecie w odstępach co dwa do trzech tygodni. Ale za-

równo te roszczenia przyczynią się do otrzymania pięknych, zdrowych, ładnie zbarwionych i pokupnych owoców, jak i wszystkie zabiegi zimowe. Tylko czynności te, prowadzone racjonalnie, systematycznie i wspólnie, będą w stanie podnieść płodność naszych sadów i wartość zbieranego plonu. Stan. Schönfeld



Wyległe w jesieni larwy Białki rudnicy objadają miąższ liści, a przed zimą osnuwają zeschnięte liście pajęczyną i tworzą sobie gniazdo, chroniące liszki od mrozu. Gniazda te w zimie trzeba ścinać i palić.



O PLANTOWANIU CHRZANU

Ten bardzo użyteczny, smaczny, ogólnie lubiany dodatek do mięsa, najpospolitszy zdawałoby się produkt—zadziwiająco jest u nas drogi. W zimie za kawałek grubszego chrzanu płacić trzeba drogo, a często i dostać wcale nie można. Przyczyną nadmiernej ceny jest zupełne zaniedbanie hodowli rośliny, która, racjonalnie prowadzona, mogłaby przynieść podwójną korzyść produkującemu i odbiorcom. W Czechach, skąd i my mamy najlepszą do produkcji odmianę „chrzan maliński“, nie lekceważą jej wcale, przeciwnie, czerpią z niej duże dochody. Obecnie, kiedy więcej jak kiedykolwiek obowiązkiem naszym jest wysilać umysł dla stworzenia i powiększenia dochodów choćby na pozór najbagatelniejszych, zwrócić powinniśmy uwagę na roślinę, której bardzo łatwa hodowla udaje się w każdej, byle niezbyt suchej ziemi, a zbyt, zwłaszcza po niskiej cenie, do czego jej wyjątkowość i mało kosztowna pielęgnacja nadaje się, jest zapewniony. Wieleż to razy w zimie po godzinnem poszukiwaniu wraca służąca z niczem, bo „nigdzie chrzanu nie dostała“. Otóż trzeba nam postarać się, aby go dostać mogła łatwo wszędzie i tanio—nie po śmiesznie wygórowanych w stosunku do jego wartości cenach. Chrzan sadzić można wszędzie, najmniejszy kawałek ziemi, leżący odłogiem w polu lub w ogrodzie, użytkować można pod chrzan. Sadzi go się późną jesienią, lub bardzo wczesną wiosną.

Ziemie pod niego przeznaczoną, dobrze nawiezioną (od tego zależy trwałość i udatność produkcji), stosownie do rozległości kopie się, lub orze bardzo głęboko, następnie grabi, lub bronuje. Sadzić można chrzan na płask lub w redlonki. W plantacjach na handel przeznaczonych lepiej jest sadzić w redlonki, które tak jak i linje w płaskiej hodowli powinny być o 60 cm. odległe od siebie. Co 40 cm. robimy kółkiem drewnianym skośne głębokie dołki, w które kładziemy sadzonki tak, aby ich wierzch znajdował się na jakie 2 cm. pod powierzchnią i obciskamy je. Późniejsza robota przy plantacji zasadza się na oczyszczaniu jej z zielska, spulchnianiu z ziemi motyką, na większych przestrzeniach radełkiem, i zasilania jej od czasu do czasu nawozem. Na sadzonki używamy bocznych odrostków, lub krajemy

cienne korzonki na kawałki 30 cm. długie. Ponieważ sadzonki takie jednakowej są grubości u góry, jak u dołu, trzeba je znaczyć wiążąc w pęczki, aby nie posadzić na odwrót. Chrzan choć kwitnie bardzo obficie, nie wydaje nasienia, udało się wprawdzie jednemu z hodowców z trudem wyprodukować takowe, że to jednak w niczem nie wpłynęło dodatnio na plantację, zarzucono te usiłowania, pozostając przy zwykłym zakładaniu sadzonek. Na późnej jesieni odkopuje się chrzan, najsmaczniejszy jest dwuletni, dostatecznie już gruby, daje dobry plon. Wycina go się na 20 do 30 cm. głęboko, korzystając z własności chrzanu, który nawet z takiej głębokości wydaje świeże łodygi podziemne i dochodzi do powierzchni ziemi. Tu nadmienić trzeba, że chrzan, przeznaczony na zimową sprzedaż—nie powinien być w ciągu lata ruszany, na domowe potrzeby przeznaczają się osobno kawałki. Starannie oczyszczony z bocznych korzonków chrzan—wiąże się w pęczki i przechowuje na zimowy użytek w piasku w chłodnej piwnicy, większe ilości dołuje się w gruncie, grubo nakrywając łęciami, słomą lub liśćmi, żeby ziemia nie zamarzała i z łatwością można go było w zimie wyjmować.

Rozmaicie stosowany jest chrzan w kuchni, a zawsze podnosi bardzo smak mięsa lub ryby, do których go się podaje. Tarty, lub skrobany na sucho używa się do befszytków, polędwicy, ryby smażonej etc., sos ze śmietaną na gorąco do gotowanego mięsa, lub takiejże ryby. Surowy chrzan ze śmietaną na zimno, wyborny do gotowanego prosiaka, podanego „po rusku“. Zagranicą jadałam chrzan zaprawiony marmeladą z jabłek, doskonały jest pomieszany z gotowanymi lub pieczonymi w cienkie plasterki, pokrajanymi burakami ćwikłowymi, zalanymi octem przegotowanym z cukrem, a najlepszy zawsze po dawnemu utarty i zalany małą ilością octu. Trzeba go tylko zaraz po utarciu posolić odrobinę, aby nie szerniał, pocukrować do smaku i zalać przegotowanym octem, zostawić na parę dni w spokoju, aby stracił nieprzyjemną ostrość, a można go jeść jako wyborną, dodającą apetytu przyprawę. Chrzan stosowany jako synopizm poważnie oddaje usługi zwłaszcza w domowym leczeniu. J. S.

Z HODOWLI DROBIU

WYLĘG I WYŻYWIENIE MŁODYCH KACZEK.

Okres wylęgu młodych trwa u kaczek krócej, niż u kur. Praktyka wykazuje, że później, niż w maju, nie opłaca się nasadzanie niasadek na kacze jaja.

Zbyt późne kacze jaja nie rozwiną się nigdy dobrze i nie mają wielkiej wartości, ani jako sztuki mięsne, ani jako materiał rozplodowy. Powinniśmy się zatem kierować zasadą: „Im wcześniej, tem lepiej“, a napewno na tem zyskamy.

Przy wyborze kaczych jaj wylęgowych musimy uwzględnić wszystkie te warunki, które omawialiśmy przy wyborze jaj kurzych. Specjalną uwagę należy zwrócić na to, aby sztuki rozplodowe pochodziły ze stadek, w których wypada nie więcej, niż 5 kaczek na 1 kaczoza. Niektóre podręczniki wska-

zują większą ilość samiczek, jako dopuszczalną, przekonałam się jednak w praktyce, że chcąc liczyć na skuteczne zapłodnienie, nie możemy liczby 5 przekraczać.

Kaczki rozplodowe mogą służyć do lat 3, a nawet 4. Kaczory najlepsze są dwuletnie. Jako niasadki kaczki są marnym materiałem. Rzadko kiedy chcą one poświęcić swój egoizm dla obowiązków macierzyńskich, a jeżeli nawet zdecydują się na wysiadywanie, to zwykle późno, jak się wyniosą. Najczęściej też używamy jako niasadek kur, lub indytek, które naprawdę są nieocenione jako matki-wychowawczynie. O ile wysiadują młode kury i indyki, to gniazdo przygotowujemy w ten sam sposób, który podaliśmy przy omawianiu rozmnażania u kur.

Jeżeli siedzi kaczką, gniazdo musi być usłane nisko. W tym wypadku układamy pod słomą grubą warstwę zwykłej pieprzowej mięty, aby uchronić gniazdo od szczurów, które często podbierają jaja z pod nasiadek (to samo dotyczy gniazd gęsi).

Pod kaczkę, lub kurę podkładamy 12—14 jaj kaczych, pod indykę mniej więcej 18. Okres wysiadania kaczych jaj trwa 27—28 dni. 7-go dnia można przejrzeć jaja zależne tym samym sposobem, który stosujemy do jaj kurzych.

Młode kacząta, o ile są silne i normalnie rozwinięte, powinny same wydostać się ze skorupki. Natura uzbroiła je do tej pierwszej walki twarogą rogową naroślą na końcu dzióbka. Jeżeli wyklucie się z niektórych jaj trwa długo i widzimy, że pisklą słabnie, musimy pomóc mu, odkruszając bardzo ostrożnie skorupkę i powiększając otwór. Trzeba robić to nadzwyczaj ostrożnie, aby nie wywołać krwawienia.

Zaznaczam, iż pomaganie pisklątom przy wykluwaniu się jest to ostateczność i zasadniczo nie powinno być stosowane.

Młode kacząta najlepiej zostawić pod kwoką, aż do obeschnięcia, a jeżeli wylęg jest prawie równoczesny, to nie należy ich wcale z pod matki wyjmować.

Wyżywienie młodych kacząt nie jest zbyt trudne. Przez pierwsze kilka dni dajemy im, jak i kurczętom, jajko rozbite z mlekiem, zagotowane i rozarte. 3-go dnia już można im podawać: kaszki gotowane, twaróg, trochę siekanej pokrzywy. W drugim tygodniu mogą jadać już ziemniaki gotowane, gniecione i obsypane śrutą, lub otrębami. Zielona

pasza (pokrzywa siekana, rzęsa stawowa) jest dla kaczek bardzo pożądana.

Na rozwój kacząt wpływa dobrze karmienie odpadkami mięsnymi. Brak paszy takiej zastępują sobie wyszukiwaniem różnych żyjątek, a zwłaszcza ulubionych dżdżownic. Wogóle kacząta łatwe są do wyżywienia, gdyż są niewybredne i jedzą prawie wszystko, a zato rosną jak na drożdżach.

Młodych kacząt przynajmniej do 2 tygodni nie powinno puszczać się na wodę. (Trudno tego dopilnować, jeżeli wodzi je kaczką). Sztuki, które zbyt wcześnie i dużo przebywały na wodzie, nie wyrastają dobrze.

Dodajmy jeszcze kilka uwag o wylęgu gęsi. A więc stadka rozplodowe powinny składać się z 3—4 gęsi i 1-go gąsiora, najlepiej dwuletniego. Gęsi mogą być starsze (do 6—7 lat), gdyż są wtedy lepszymi matkami.

Gęsi naogół wysiadują dość chętnie i starannie. Obejmie zwykle średnia gęś 12—15 jaj i siedzi na nich 29—30 dni. Wylęg odbywa się tak, jak u kaczek. Młode gąsienki są bardzo wrażliwe i delikatne. Trzeba je zwłaszcza chronić od wilgoci (deszcz) i chłódów. Nie znoszą również dusznych pomieszczeń. Po 4 tygodniach mija okres ich zbytnej wrażliwości i znoszą dobrze nawet gorsze warunki.

Jako pierwszy pokarm podajemy małym gąskom jajko, przyrządzone tak samo, jak dla kacząt i mleko, lub wodę do picia. Po kilku dniach dajemy twaróg, pilnie uważając, aby nie był zbyt kwaśny, siekaną zieleninę, później ziemniaki gotowane z parzonym śrutem. Do pożywienia kaczkom i gęsiom trzeba dodawać drobny piasek, lub mielone kości. Wpływa to na trawienie i dobry rozwój kośćca.

H. Bilska

PRZEPISY GOSPODARSKIE

KISIELEK KAWOWY

Ugotować dwie szklanki dobrej, mocnej, aromatycznej kawy, oddzielnie zagotować dwie szklanki dobrego, niezbianego mleka, lub lepiej niegęstej śmietanki, mieszać to razem, osłodzić pełną szklanką cukru, zagotować razem bardzo szybko, aby aromat kawy się nie ulotnił. Filiżankę mąki kartoflanej rozbić z filiżanką wody, wylać na wrzącą kawę, mocno rozbijając drewnianą łyżką, aby masa stała się równą i gładką. Formę kremową spłókać wodą, wysypać cukrem, wlać do niej kisielek i postawić na trzy, lub cztery godziny na chłodzie. Przed podaniem wyrzucić na półmisek. Jeżeli chcemy podać tę potrawę elegancko, należy ją wkoło obłożyć śmietaną bitą z cukrem i wanilią, w codziennym obiedzie wystarczy podanie zimnego mleka, lub śmietanki i cukru do niej.

NALEŚNIKI CYTRYNOWE

Z dwóch jaj i szklanki mąki zrobić zwykłe naleśniki biszkoptowe, to jest żółtko rozbić oddzielnie z mąką i wodą na rzadkie naleśnikowe ciasto, po-

tem dopiero ubić białko na sztywną pianę i wymieszać. Zetrzeć skórkę z cytryny na tarce, zmieszać z pół szklanką cukru i sokiem z całej cytryny. Na patelni rozpuścić łyżeczkę dobrego masła, wlać dwie spore łyżki ciasta, zrumienić dobrze naleśnik ze spodu, na górze powinien się ściąć tylko, położyć nań łyżkę cytrynowej masy, prędko rozsmarować, zwinąć w rolkę i położyć na ciepłym półmisku. Powtarzać to, aż ciasto całe wyjdzie, z tej proporcji wychodzi 6—9 naleśników sporych. Trzymać w ciepłym piecu aż do chwili podania.

LINY W SOSIE SADZONYM

Dwa, lub trzy spore liny, wagi około dwóch kilo oczyścić, osolić, potrzymać tak godzinę. Dwie marchwie, pietruszkę, pół selera i porę pokrajać, jak makaron, toż samo dużą cebulę, dodać dziesięć deka sułtańskich rodzenek, ugotować razem na smak, dodać łyżkę octu.

Smaku powinno być tyle, aby rybę objęło. Rybę obetrzeć serwetą, włożyć w smak, ugotować, potrzymać jeszcze kwadrans w smaku, wyłożyć na pół-

misek, przykryć serwetą i trzymać w ciepłe. Zasmażyć łyżkę maki z masłem, rozprowadzić smakiem z ryby. dodać karmelu, aby sos był ładnie rumiany, włożyć cytrynę pokrajaną w talarki, pieprzu, ziela, listka, zagotować razem. Gdy sos zgęstnieje zalać nim rybę. Resztę sosu podać w sosjerce.

RYBA PO ŻYDOWSKU

Dużego szczupaka pokrajać na dzwona, osolić prażoną solą i zostawić na godzinę. Dwie duże pietruszki, marchew, porę, pół selera, trzy cebule pokrajać w drobne plasterki, dodać trochę pieprzu ziela, ułożyć w rondlu wraz z nasoloną rybą i zalać wodą, aby objęło. Postawić rondel na dużym ogniu i gotować, uważając, aby do rondla nie przystało. Po półgodzinnym gotowaniu dolać kwaterek zimnej wody, gotować, mocno kwadrans, włożyć parę płatków suchego szafranu, łyżeczkę imbiru utartego i garść rodzenków sułtańskich, jeszcze kwaterek wody i gotować jeszcze kwadrans. Dzwona ryby ułożyć w środku półmiska, włoszczyznę z rodzenkami ułożyć dokoła i podawać bardzo gorące.

DORSZ W GALARECIE

Kilo dorsza, najlepiej środkowy kawałek, oskrobać, oczyścić z wewnętrznej czarnej skóry, osolić, potrzymać tak dobrą godzinę. Tymczasem pięć szklanek wody zagotować na smak z dużą cebulą, sporą marchwią, pietruszką, listkiem i pieprzem, oddzielnie ugotować trzy jaja na twardo i przygotować parę korniszonów, lub grzybków marynowanych. Gdy marchew miękka włożyć dorsza i gotować, aż od kości mięso odstawać zacznie. Formę glinianą, lub metalową wyłożyć ćwiartkami jaj, zielonemi listkami pietruszki, marchewką i pietruszką, pokrajanymi w talarki. Rybę oczyszczoną z ości i skóry połupać na kawałki i ułożyć na włoszczyźnie. Smak rybny precedzić, rozpuścić w nim pięć listków żelatyny białej, uprzednio dobrze wymoczonej w zimnej wodzie, wlać łyżkę octu, lub wycisnąć sok z cytryny, wrzucić nieco skórki z cytryny utartej na tarce, — daje to miły zapach galarecie. Zalać tem rybę i dać dobrze zastygnąć. Do tego można podać chrzan z octem, sos musztardowy, lub tatarski.

Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

Z powodu nadmiaru materiału odpowiedzi w „Bluszczu” są umieszczane z opóźnieniem paru tygodni.

Odpowiedzi na łamach „Bluszczu” z dziedziny kosmetyki nie podlegają opłacie, jedynie listy wysyłane prywatnie są uważane za porady lekarskie.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Marji R. z Brześcia.

Z przyjemnością przeczytałam list Sz. Pani. Zrozumienie nowego kierunku w kosmetyce, który reprezentuję, dało mi dzisiaj olbrzymią satysfakcję w mojej pracy.

Nauczycielka z Raclawic.

Masaż jest jedynym z najcudowniejszych zabiegów dla podtrzymania urody kobiecej.

Wymagane jest stanowczo staranne dostosowanie masażu do poszczególnych twarzy. Jeżeli

miał Panią uczyć masażu fryzjer, to lepiej wcale się nie masować.

W połowie marca ukaże się moja książka pod tytułem „Piękno i zdrowie w życiu kobiety”. Tam radzę Pani przestudjować masaż twarzy.

Uprzedzam, że w tej książce masaż jest podany dla cery młodej i zdrowej. Dla cer nienormalnych ruchy masażu muszą być przystosowane przez lekarza.

Radzę Pani zacząć leczyć cerę jak najszybciej.

Przemysław G. M.

Piegi występują stale na wiosnę i w lecie.

Niema środka radykalnego na piegi, któryby na zawsze usunął tę przykrą dolegliwość.

Załączam doskonałą receptę, stosować należy codzień na noc po umyciu twarzy przez okres 6 tygodni.

Po zniknięciu piegów zaprzestać i tylko w razie potrzeby na rano używać.

Na wydelikacenie skóry proszę spróbować „Mój Krem” i „Mój puder Higieniczny”, kolor naturalny.

Przy stosowaniu środka na piegi na noc, „Mój Krem” trzeba stosować na dzień, sposób użycia podany przy opakowaniu.

Przy zamawianiu „Mego Kremu” i „Mego pudru” podawać proszę dokładny adres, na pseudonim wysyłki nie można skutecznie.

Na piegi: Camph, 1,5 Mercur. praecip. albi 2, Bismut. subn. 1,0 Lanolini 5,5, Ds. zewnętrzne.

Kalisz.

Mycie włosów. Bez zbadania nie można ustalić, jak często włosy powinny być myte, zależy to od jakości włosa, w granicach od tygodnia do miesiąca. Najlepszy środek na mycie jest zrobiony w domu płyn wedle przepisu następującego:

100 gr. Sapopix, łyżeczka boraksu, łyżeczka Salmiaku, 2 żółtka i 1/2 litra wody letniej, przegotowanej.

Zrobić pianę na głowie na 5 minut i dobrze spłókać wodą z octem. Na litr wody 2 łyżki octu, dobre mycie włosów zależy od środka użytego do mycia i od obfitego spłókania włosów.

Sapopix dostać można Tow. akc. Karpiński Elektoralna 35.

Maryśka.

Wszelkie dolegliwości przewodu pokarmowego nadzwyczaj wycieńczają organizm. Nie należy zwlekać, lecz natychmiast udać się do lekarza chorób wewnętrznych po gruntowne i systematyczne leczenie.

Dobrom A.

Przy łojotoku konieczne jest mycie gorącą wodą. Niema obawy, żeby wskutek tego wytworzyły się zmarszczki.

Jakie powody wpływają na wytworzenie się zmarszczek, odsyłam do mojej książki „Higiena Kosmetyczna”, wydawnictwo „Bluszczu”, w najbliższych tygodniach ukaże się w sprzedaży. Po umyciu wodą gorącą potrzeba spłókać zimną i następnie wetrzeć „Mój Krem”, który zapobiega tworzeniu się zmarszczek.

Zofja K.

Na razie włosy potrzeba wzmocnić, receptę załączam: Ac. salicyl. 1,5 chinici umort 1,5 T-ra sabodil. 15,0 spir. lavandol 50,0 spir. vini dilat. 50,0 ol. vini 2,0.

Nacierać co drugi dzień w przeciągu 2 miesięcy.

Umyć włosy raz na dwa tygodnie. W końcu zastosować masaż głowy i włosów. Sposób masowania znajdzie Pani w mojej książce pod tytułem „Higiena Kosmetyczna” wydaw. „Bluszcz”. Ukaże się w najbliższym czasie w sprzedaży. Na twarz spróbować „Mój Krem”, sposób użycia przy opakowaniu.

Jan Tw.

Z opisu nie można się zorientować z rozpoznaniem Pani dolegliwości — radziłabym jak najprędzej udać się do specjalisty chorób ocznych, by nie zaniedbać sprawy i nie zostać zeszpeconą na całe życie.

Irenie K.

Kluczyk do wyciskania węgrów dostać można w Warszawie w sklepie z instrumentami lekarskimi (Jodłowski ul. Marszałkowska 81). Jeśli się nie umie obchodzić z instrumentami, to lepiej nie wyciskać, a tylko zmywać lekarstwem, którego receptę załączam:

Rp. Sulf. praecip. 7,0
camph.
gumi arab. on 1,5
An. calcis 40,0

Ds. zewnętrzne, nacierać twarz 2 razy w tygodniu na noc.

Pozatem w pozostałe dni wycierać twarz na noc spiryt. resorc. 2%, następnie użyć „Mój Krem” „Mój puder”.

Poznaniance oraz Hg.

Na odciski receptę załączam, moczyć w gorącej wodzie z boraksem (łyżeczka na miednicę) i tylko miejsce zajęte odciskiem pędzlować.

Rp. Ac. laetici 1,0 salicyl 2,0 estr. corab. indic. 0,3 Collodii elastici 10,0.

Ds. pędzlowanie.

Dr. J. Świtalska.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 11

215. Kostjum granatowy, spódnica układana w kontrafałdy

216. Kostjum z wełny w kratę i gładkiej.

217. Kostjum angielski, brązowy.

218. Palto granatowe, przybrane aksamitem.

219. Paltocik z piaskowego sukienka dla chłopczyka sześciolatniego.

220. Sukienka i okrycie z wełny w kratę i gładkiej, dla dziewczynki piętnastoletniej.

221. Paltocik z wełny przerabianej, w kratkę, dla sześciolatniego chłopczyka.

222. Kostjum z sukienka bois de rose, przybranie piaskowe.

223. Kostjum welniany ciemnozielony z popielatym.

224. Paltocik z wełny w kratę dla dziewczynki sześciolatniej.

225. Płaszczek z pelerynką dla dorastającej panienki.

226. Paltocik dla siedmioletniej dziewczynki. Kołnierz i pasek jaśniejsze od płaszczka.

227. Palto z angielskiej wełny w prążki, układane w kontrafałdy.

228. Ubranko dla małego chłopca. Bluzka z surowego jedwabiu, majteczki z rypsu bawełnianego.

229. Ubranko welwetowe dla sześciolatniego chłopczyka.

230. Ubranko płócienne dla pięcioletniego chłopczyka.

231. Ubranko wełniane dla dwunastoletniego chłopca.

232. Fartuszek z kretonu w desenik, objęty gładką satyną.

233. Ubranko płócienne, przybrane haftem dla chłopczyka pięcioletniego.

234. Ubranko wełniane dla dwunastoletniego chłopca.

235. Fartuszek płócienny, przybrany aplikacją.

236. Wzór na ekran, lub makatę—aplikacja, haft kolorowy.

237. Wzór na szal, haft kolorowy.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących:

palto, lub sukienka fantazyjna	zł. 3.50
sukienka zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dziecinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele pryncypałerek nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr., są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszczu” w ciągu roku 24 i 25, i których pozostałą niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelniczkom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata —
ekran — zł. 2,50,
poduszka — serwetka — zł. 1,50,
drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu” nie wysyłamy.



Rozwój umysłowy i fizyczny dzieci

Waszych leży Wam na sercu. Płatki owsiane **Quaker Oats** są pokarmem do tego najodpowiedniejszym, dają zdrowie i siły i rozwijają umysł dziecka.

Quaker Oats

„LAMBRO” Sp. z ogr. odp. Warszawa. Niecała 8 tel. 76-56.



MYDŁO W PASCIE NISZCZY EMALISZ



DENTOLIN

NAJLEPSZA PASTA DO ZĘBÓW
BEZ DODATKU MYDŁA

TOW. AKC. "Fr. KARDPIŃSKI" W WARSZAWIE



Chorzy! Używajcie tylko pewne **Chorzy!**
i wypróbowane środki

Tysiące ludzi chrońciecznie chorych uzdrowiły
od 1602 roku

REFORMACKIE

pigułki z m. Zakonnik



Zalecane przez powagi lekarskie REFORMACKIE pigułki z m. zakonnik radykalnie usuwają wszelkie cierpienia ŻOŁĄDKOWE, cierpienia NEREK, cierpienia WĄTROBY, KAMIEŃ ŻÓLCIOWY, cierpienia HEMOROIDALNE, REUMATYZM, ARTRETYZM, bóle GŁOWY, WYRZUTY I LISZAJE, pobudzają TRAWIENIE, APETYT i przy skłonnościach do OBSTRUKCJI są niezastąpionym środkiem PRZECZYSZCZAJĄCYM.

Użyjcie 1 do 2 pigulek na noc. ———— Cena pud. zł. 1.15
Wyrobu apteki KARCZEWSKI-TUSZYŃSKI Warszawa. Trębacka 4.
Żądać w aptekach i składach z Zakonnikiem

Wydany przez nas bardzo starannie,

ZBIÓR MONOGRAMÓW

zawierający przeszło sześćset wzorów od wykwintnych do najskromniejszych, dorównywuje pod względem wykonania zagranicznym tego rodzaju wydawnictwom, a mając charakter swoisty, bardziej odpowiada wymogom domu polskiego.

Każdy, nie umiejący nawet haftować, z naszego „ZBIORU” (ze względu na ilustrowane pouczenia) skorzystać potrafi.

Za jeden monogram płacicie Panie około 2 zł; cena naszego „Zbioru” wraz z przesyłką pocztową wynosi tylko 5 zł.

Wysyłka natychmiastowa po nadesłaniu pieniędzy przekazem pocztowym. Za zaliczką wysyłamy tylko po otrzymaniu 1 zł. znaczkami pocztowymi.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”

Warszawa, Krak.-Przedm. 99.

Konto P. K. O. 3700.

BY MIEĆ PIĘKNE ZĘBY

NALEŻY UŻYWAĆ

KALODENS

PROSZEK i ELIKSIR

Wyrobu Laboratorium Apteki

M. MALINOWSKIEGO

Warszawa, Nowy Świat 31.

NOWOŚCI WIOSENNE

nadeszły

Wysyłka prób i zleceń ponad 25 zł. BEZPŁATNIE.

BRACIA JABŁKOWSCY

WARSZAWA, BRACKA 25.

NA RATY!

ZA GOTÓWKĘ!

Najtaniej! Wełniaki i kilimy, **Najtaniej!**
artystyczne wyro-

by z drzewa, pudełka

Poleca sklep Sekcji Przemysłowej—Marszałkowska 64.



Co dzieci najchętniej jedzą

nalety dawać im jaknajczęściej. Naj-
lepiej smakują i są znane powszechnie. **Budynie Oetker**
Są smaczne, nadzwyczaj pożywne i bardzo tanie. Żądać w rozmaitych rodzajach:
Budyni czekoladowy wytworny („Gala”) • Budyni na sposób holenderski • Budyni z makronami • Legumina czekoladowa z sześcianami migdałami • Czerwona kaszka „Ambrozja” i t. d.

Do nabycia we wszystkich sklepach, zawsze w oryginalnym opakowaniu (nigdy luźno)
ze znakiem ochronnym „Oetker” i „Jazna główka”. Równocześnie należy zażądać
bezpłatnej książki z przepisami Oetkera; w razie wyczerpania przesyła ją bezpłatnie
Dr. A. Oetker, Olkwa.



Zastępcy: M. GIERSZEWSKI, Warszawa, Sienna 26. Tel. 21-41.

ZAWIADAMIAMY SZ. PANIE PRENUMERATORKI, ŻE W ADMINISTRACJI NASZEJ SĄ DO
NABYCIA DOŁĄCZANE DO „BLUSZCZU” W LATACH 1924 i 1925

ARKUSZE WZORÓW

naturalnej wielkości robót ręcznych do kopjowania

ARKUSZE TE MOŻNA NABYWAĆ KOMPLETAMI NIE MNIEJ 6 SZTUK W CENIE 30 GR. ZA
ARKUSZ, NA KOSZTA PRZESYŁKI POCZTOWEJ KOMPLETU NALEŻY NADEŚLAĆ 20 GROSZY

KOMPLET ARKUSZY Z 25 SZTUK KOSZTUJE 7 ZŁ., Z PRZESYŁKĄ 7 ZŁ. 50 GR.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE
(PLAC ZAMKOWY) Nr. 99. TELEFON Nr. 239-40. KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr. 3.700

PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie—57 zł. 60 gr., kwartalnie—14 zł. 40 gr.

Miesięcznie—4,80 gr. Zagranicą—8 zł.

Zmiana adresu 30 gr.

CENY OGŁOSZEŃ:

Na okładce: stronica $\frac{1}{2}$ —450 zł., $\frac{1}{4}$ str.—260 zł.,

$\frac{1}{8}$ str.—150 zł., $\frac{1}{16}$ str.—80 zł., $\frac{1}{32}$ str.—45 zł.,

$\frac{1}{64}$ str.—30 zł. Za tekstem o 50% drożej.

Wkładki reklamowe i reklamy opisowe—według umowy.